

Zostań bajkowym bohaterem

Zbiór bajek dla dzieci



Zabrania się kopiowania, rozpowszechniania i udostępniania części lub całości niniejszej publikacji osobom nieupoważnionym. Zabronione są jakiegokolwiek zmiany w zawartości publikacji bez zgody wydawcy.

Copyright by: EACTIVE wiemy jak

Tytuł: „Zostań Bajkowym Bohaterem” – zbiór bajek dla dzieci

Data: 1.03.2015 r.

Ilustrował: Łukasz Ostapczuk

Autor: Praca zbiorowa



www.eactive.pl

SPIS TREŚCI

Wstęp	4
P. Olko: „Edek w krainie unbobków”	5
A. Bolko: „Listek”	15
D. Lizurej: „Żabi prezent”	18
E. Matusiak: „W Królestwie Pomponów”	21
M. Broś-Rudnicka: „Jeżyk Pafnucy”	25
M. Dzięgielowska: „W poszukiwaniu zaginionej gwiazdy”	29
I. Gumieniak: „O tym, jak Lukrecja zaczęła jeść zdrowo”	33
W. Krzos: „Mała syrenka Eliza”	40
N. Grębska: „Renifer Gigo”	48
K. Zielińska: „O wielkiej kłótni Śniegu i Mrozu”	52
M. Stach: „Jak dzielna Lidia odczarowała Cukiereczka”	57
S. Siemaszko: „Mały Karolek i stary kuter”	61
J. Klubka: „Przygody Sówki Sonii”	68
J. Paszkowiak: „Królewna i żabka Rechołka”	74
A. Książek: „Wigilia wielkanocnego zająca”	78
J. Surman: „Franek i szpitalni przyjaciele”	83
K. Demkiw: „Słonik Gebi”	87
I. Sagasz: „O księciu Bartku i pięknej królewnie Malwinie”	93
M. Pazik: „O mołu Julku i lawendzie”	98
I. Zduniak: „Łatek i Zapracowane Miasto”	102

WSTĘP

Niniejsza publikacja jest zbiorem 20 bajek, które zostały wyróżnione w konkursie „Zostań Bajkowym Bohaterem” organizowanym przez firmę z Wrocławia „EACTIVE wiemy jak”. Każda bajka jest autorstwa innej osoby i opisuje odrębną historię. Prace powstały z myślą o najmłodszych odbiorcach i wierzymy, że będą im służyły przez długi czas. Zapraszamy zatem do bajkowego świata, pełnego niezwykłych stworzeń i niecodziennych zdarzeń, a także pouczających morałów, które stanowią ponadczasową wartość.

Zespół EACTIVE wiemy jak

„Edek w Krainie Unbobków”

W każdym prawdziwym lesie jest takie miejsce, gdzie nigdy nie było żadnego człowieka. Rosną tam najpiękniejsze kwiaty i żyją najdziwniejsze zwierzęta, o których istnieniu nikt nie ma pojęcia. W takich właśnie miejscach osiedlają się zwykle bobki.

Bobki są małymi, ruchliwymi stworzeniami, które uwielbiają wszelkie żarty i psikusy. Są bardzo strachliwe i zazwyczaj nie wychodzą ze swoich domków, ale w słoneczne dni ich śmiech rozbrzmiewa echem po lasach i polanach. Chcę opowiedzieć Wam historię pewnego niesforne bobka imieniem Edek, który zasłynął pośród wszystkich bobczych wiosek.

Edek nie miał mamy ani taty, gdyż bobki wykluwają się z małych fasolek. Fasolki te są początkowo całe zielone, później natomiast wyskakują na nich różnokolorowe wzorki, które świadczą o pokrewieństwie bobków. Niektóre mają paski, inne kółka, a jeszcze inne po prostu śmieszne plamki. Tak więc Edek, który urodził się paskowany, mieszkał ze swoją paskowaną ciocią.

Pewnego letniego poranka Edek siedział na werandzie ciocięgo domku zrobionego z sosnowych igiełek i zajadał wędzoną jagodę, kiedy nagle przybiegł jego przyjaciel, Bąbel. Okazało się, że razem z Ryśkiem, Pączusiem i Alkiem robią zawody w ujeżdżaniu koników polnych, więc Bąbel szybko przybiegł po Edka – bo zabawa w kowbojów to jest to, co Edek lubi najbardziej. Niewiele myśląc, bobek rzucił niedojedzoną jagodę i pognął w las za przyjacielem.

Zawody odbywały się przy domu Ryśka, którego wujek był znanym hodowcą koników. Kiedy Edek z Bąblem przybyli na miejsce, pozostali siedzieli już na grzbietach swoich wierzchowców, przechwalając się między sobą.

– Patrzcie chłopaki, ten jest największy i najsilniejszy! – zawołał

zachwycony Pączuś. – I sam go złapałem!

– Chyba najgrubszy – zaśmiał się Alek i w tym momencie Pączuś się rozplakał.

– Aaaa! Jesteś okropny! – zawołał i zaczął biec w kierunku Alka, wymachując rękami.

– Co robicie? Ja też chcę! – ożywił się Rysiek, który myślał, że to nowa zabawa.

Już po chwili wszyscy biegali wrzeszcząc i wymachując rękami. Biegli tak i biegli przed siebie, a czas szybko zleciał im na dobrej zabawie. Kiedy wreszcie usiedli na mchu żeby trochę odpocząć, zorientowali się, że są bardzo daleko od wioski.

– Może wracajmy... – powiedział nieśmiało Bąbel.

– Robi się ciemno – zauważył Alek.

– Tak, wracajmy – zgodziły się bobki, ale niestety żaden z nich nie pamiętał, z której strony przybiegli.

– Zgubiliśmy się – chlipał Pączuś. – I co my teraz zrobimy? Pewnie nigdy nie uda nam się wrócić do wioski.

– Hej, głowa do góry! – zawołał Edek. – Na pewno coś wymyślimy.

Więc zaczęli wymyślać. Wymyślali tak i wymyślali, ale jakoś żadnemu z nich nie przychodziło do głowy nic mądrego. W końcu, pierwszy odezwał się Alek.

– Mam pomysł! Może niech któryś z nas wejdzie na drzewo? Patrząc z góry łatwiej nam będzie zorientować się w terenie.

– Nie bądź niemądry – odpowiedział Bąbel. – Wejście na drzewo zajęłoby nam miesiąc.

– No to może – odezwał się Rysiek – niech jeden z nas pójdzie szukać wioski i jak znajdzie, to przyjdzie po resztę?

- A jak nie znajdzie?
- To drugi bobek znajdzie tego pierwszego i będą szukać razem.
- Jesteś niemądry. W ten sposób wszyscy się zgubimy – zaprotestował Alek. – Nie możemy się rozdzielać.
- W takim razie może sam wymyślisz coś lepszego? – zdenerwował się Rysiek.
- Hej, nie kłóćcie się – uspokajał Edek – to w niczym nie pomoże. Lepiej, żebyśmy pracowali w zgodzie. Póki co, chodźmy przed siebie. Noc już zapada i robi się niebezpiecznie. Nie możemy zostać tu dłużej, trzeba poszukać jakiegoś schronienia.

Wszyscy zgodzili się z Edkiem i chwilę później szli już przez las trzymając się za ręce. Nie wiedzieli jednak, że z każdym stawianym krokiem, coraz bardziej oddalają się od domu.

Po godzinie marszu bobki były wyczerpane długą drogą i traciły jakąkolwiek nadzieję na odnalezienie wioski (bo trzeba Wam wiedzieć, że bobki mają bardzo krótkie nóżki i męczą je piesze wędrówki). I kiedy sytuacja robiła się już naprawdę poważna, nagle z oddali wynurzyła się chatka, a zaraz za nią druga i trzecia. Wkrótce okazało się, że zbliżali się do jakiejś osady. Ucieszyli się na myśl o spotkaniu bobków z sąsiedniej wioski. W miarę pokonywania dystansu dzielącego ich od pierwszych domków okazało się jednak, że nie jest to typowa bobcza wioska. Chatki były o wiele większe od tych, które widywali do tej pory. Przy każdej z nich, w wielkich drewnianych klatkach, spały olbrzymie żuki błotne.

– Nie do wiary! Jak udało im się zapędzić je do tych klatek? – zapytał zdziwiony Pączuś wypowiadając na głos to, o czym myśleli również jego przyjaciele, bowiem rzadko się zdarza, aby jakiemuś bobkowi udało się oswoić dzikiego żuka błotnego. Zresztą żuki niczego się nie boją, więc potrzeba co najmniej dwóch mężnych bobków, by złapać dorosłego samca. Nikt jednak nie

zdażył odpowiedzieć Pączusiowi, bo w tej właśnie chwili do swoich wielkich domów zbliżali się ich mieszkańcy. I z pewnością nie były to bobki.

– Czy to... to... – zająknął się Bąbel.

– Tak. To unbobki – powiedział Edek i głośno przełknął ślinę.

Unbobki to takie złośliwe, rozkrzyczane stworki. Są dwa razy większe od bobków, co wykorzystują, by mieć nad nimi władzę. Bobki bardzo się ich boją, dlatego osiedlają się jak najdalej od ich siedzib. Unbobki żyją stadnie, w licznych grupach. Przewodzi nimi Rejmund – mały karłowaty unbobek ze szlacheckiego rodu, który ponad wszystko kocha władzę. Nic więc dziwnego, że małe bobki były przerażone. Znalazły się w najmniej odpowiednim dla nich miejscu.

– Chodźmy stąd – szepnął Alek – zanim zorientują się, że tu jesteśmy.

– Chyba już za późno – odpowiedział Rysiek.

Rzeczywiście, unbobki doskonale zdawały sobie sprawę z obecności malców, bowiem spoglądały na nich z ukosa, szepcząc między sobą.

– No... to co robimy? – zapytał Bąbel.

– Spróbujmy się wycofać – postanowił Edek. – Byle cicho.

– W tym samym czasie, unbobki rozmawiały między sobą.

– Co to za jedni? – zdziwił się pierwszy. – Nigdy wcześniej ich tutaj nie widziałem.

– To bobki – stwierdził drugi. – Wyjątkowo niemądre, skoro złożyły nam wizytę. Złapmy je.

Unbobki zarechotały złowieszczo i zaczęły otaczać malców ze wszystkich stron. Biedne bobki, nie zdażyły uciec przed napastnikami.

– Puśćcie nas! Co chcecie z nami zrobić? – krzyczały, gdy prowadzono je przed oblicze Rejmunda. Wszelkie próby ucieczki były bezsensowne. Bobki były przecież bardzo małe, a unbobki takie wielkie i złe! Na nic zdały się

prośby o zwrócenie wolności.

Szli długo, w milczeniu, które od czasu do czasu przerywał jeden z unbobków, wyśmiewając się z więźniów. Podczas tego niemal niekończącego się marszu, mijali wiele domostw. Żaden z mieszkających w nich unbobków nie był im jednak przyjazny. Tylko olbrzymie żuki błotne, które również były więzione, spoglądały na nich ze smutkiem i zrozumieniem.

W końcu stanęli na dużym, ozdobionym żołędziami placu, na środku którego stał wspaniały tron wykonany z jodłowych igiełek i dębowej kory.

– Ja chcę do domu... – chlipał Pączuś.

– Cicho! – przerwał mu gwałtownie jeden ze strażników. Oto nadszedł Rejmund.

Już na pierwszy rzut oka widać było, że nie jest zwykłym unbobkiem. Był dużo mniejszy i bardziej krępy od swoich towarzyszy. Nosił długi, purpurowy płaszcz wyszyty liśćmi, który ciągnął się za nim po ziemi, a na głowie wspaniałą koronę z ziaren złotego piasku. W rękę trzymał dębową gałązkę z żołędziem na końcu, która służyła mu za berło. Ogólnie sprawiał wrażenie rozkaprzonego i zapatrzonego w siebie.

Rejmund zasiadł na tronie i przebiegł wzrokiem po zebranych.

– O co chodzi?! – ryknął. – Kto śmie zakłócać spokój Rejmunda Wielkiego?

– Ppp... panie... – odezwał się jeden ze strażników. – Przyprowadziliśmy intruzów. Niech wasza wysokość raczy spojrzeć i wydać sprawiedliwy wyrok za bezprawne wkroczenie na teren naszej wioski.

– Hmm... – zamyślił się Rejmund, drapiąc się po brodzie. – Czy dobrze widzę?

– Czy to są... bobki? – zapytał po chwili.

– Tak, wasza wysokość widzi doskonale – potwierdził strażnik. – Nie dość, że zakłóciły spokój w wiosce, odważyły się też szemrać między sobą!

Z pewnością obraziły majestat waszej wysokości.

– Wcale nie szemrałem! – oburzył się Rysiek.

– Ja też nie! I ja też! – krzyczały bobki.

– Spokój! – ryknął Rejmund, podnosząc w górę berło. – Rejmund Wielki nie udzielił wam głosu.

Rejmund skinął na służącego, który trzymał wielką tacę z kory, a ten natychmiast podbiegł i wręczył mu puchar z napojem. Władca upił łyk i znów zwrócił się do więźniów, głosem nieznoszącym sprzeciwu.

– Skoro Albert twierdzi, że szemraliście, to z pewnością tak było.

Bobki domyśliły się, że Albert to strażnik, który rozmawiał z Rejmundem. Chciały zaprzeczyć tym absurdalnym oskarżeniom, ale milczały, aby nie pogorszyć swej sytuacji. Zrozumiały, że żadne wyjaśnienia nie przekonają złego Rejmunda, który postanowił ich uwięzić tylko po to, by pokazać im ogrom swojej władzy.

Nagle Rejmund wstał i zwrócił się do Alberta:

– Dobra robota, mój sługo. Dzięki twojej lojalności, w porę złapaliśmy tych rozbójników. Odznaczę cię za to Orderem Złotego Żołędzia.

– Dziękuję, wasza łaskawość – rzekł Albert składając władcy głęboki ukłon. Gdy spojrzał na bobki, uśmiechnął się złośliwie. Oskarżył je chociaż były niewinne, tylko po to, by dostać medal od Rejmunda!

– A wy – władca zwrócił się do malców – musicie ponieść karę za przestępstwo szemrania. Skazuję was niniejszym na czyszczenie klatek żuków błotnych. Na zawsze! Zabrać ich – rozkazał, po czym podniósł się z tronu i odszedł majestatycznym krokiem.

– Hej! Zaczekaj! – krzyknął za nim Edek. – Jesteśmy niewinni!

Niestety Rejmund już go nie słyszał.

Żuki błotne były całkowicie podporządkowane unbobkom, które

wykorzystywały je do najcięższej pracy – musiały bowiem wozić na plecach wielkie szyszki, z których budowano unbobcze chatki. Każdy z małych bobków został przydzielony do jednej z klatek, którą musiał wyczyścić. Nie była to ciężka praca, ale niestety bobki zostały rozdzielone i nie mogły ułożyć planu ucieczki. Jeden tylko Edek nie tracił nadziei na powrót do domu.

Następnego ranka unbobki obudziły się w wyjątkowo dobrych humorach, był to bowiem dzień urodzin Rejmunda Wielkiego. Wszyscy mieszkańcy wioski przygotowywali przyjęcie, które miało odbyć się wieczorem. Pod rozłożystą paprocią na Żołędziowym Placu ustawiono długi stół, na który przyniesione zostały wspaniałe potrawy i napoje. Pobliskie rośliny przybrane były w kolorowe lampiony i rozmaite świecidełka, a na środku Placu płonęło wielkie ognisko. Wszystko to sprawiało naprawdę bajeczne wrażenie.

Kiedy wszystko było już gotowe, zaczęła się zabawa. Na przyjęcie przyszły wszystkie unbobki z wioski, a także bobki i żuki, którym tego dnia przydzielono urlopy. Goście zajęli miejsca przy stołach, jedząc, pijąc i gawędząc wesoło. Rejmund siedział na swoim tronie w nowej szacie utkanej z bławatków specjalnie na tę okazję i raz po raz wybuchał rubasznym śmiechem, rozbawiony opowieściami towarzyszy.

Nagle zrobiło się cicho i wszyscy skierowali wzrok na kucharza, który na wielkim brzozowym wózku wioził ogromny, kilkupiętrowy tort malinowo-borówkowo-szczawiowy. Na szczycie ciasta widniała mała figurka Rejmunda, a obok lukrowy napis: „W dniu 321 urodzin Waszej Wysokości”. Rozległy się gromkie brawa, po czym wszyscy wstali i zaśpiewali wspólnie:

*Rejmundzie kochany,
Oto dzień wspaniały!
Żyj nam długo, żyj szczęśliwie,
Niech ci czas płynie leniwie.
Mało pracuj, dużo jedz,*

*A już teraz o tym wiedz:
My ogromnie cię kochamy,
Więc życzenia te składamy!*

Po odśpiewaniu urodzinowej piosenki, wszyscy zaczęli tańczyć wokół ogniska, trzymając się za ręce. Potem Rejmund pokroił uroczyście tort i oznajmił, jaką to przyjaciele zrobili mu niespodziankę i jaki jest wzruszony. Całe przyjęcie wypadłoby doskonale, gdyby nie to, że nagle rozboleł go brzuch. Okazało się, że zjadł za dużo urodzinowego tortu! Zwołano najlepszych unbobczych medyków, niestety żaden z nich nie umiał pomóc władcy.

– Oj, jak boli! – jęczał Rejmund. – Czy naprawdę nikt nie jest w stanie mi pomóc? Oj, jak boli!

– Wasza wysokość – odezwał się jeden z lekarzy – zrobiliśmy wszystko co w naszej mocy, ale nie znamy lekarstwa na ból brzucha po torcie malinowo-borówkowo-szczawiowym.

– A więc brzuch będzie mnie bolał do końca życia? Tylko nie to! – rozpaczał Rejmund. – Jak mogę być groźnym unbobczym władcą, skoro boli mnie brzuch? Stanę się pośmiewiskiem całego lasu! – powiedział i rozplakał się.

– Wcale nie – odezwał się cichy głosik. – Ja znam lekarstwo.

– Co? Kto to powiedział? Kto to powiedział? – pytał Rejmund. – Oddam tron, oddam wioskę, cokolwiek zechcesz! Tylko proszę, pomóż mi!

– To ja powiedziałem – z tłumu wyłonił się Edek. – Znam lekarstwo. To bardzo proste. Wystarczy roznieść liść babki lancetowatej z dwoma gramami świeżych jagód i kroplą rosy.

Wtem odezwał się Albert, zły unbobek:

– Niech wasza wysokość go nie słucha, to jeden z tych przebiegłych małych bobków! Skoro dopuścił się przestępstwa szemrania, może ośmielić się zadrwić z waszej wysokości podając złą recepturę!

– Zamilcz! – krzyknął Rejmund. – Dość już tej swawoli! Przyrządźcie miksturę i tak nic innego mi już nie pozostaje. Oj, jak boli!

Medycy usłużnie pobiegli zrobić lekarstwo i już po chwili przynieśli je w konwaliowym pucharze. Rejmund pochwycił go i wypił zawartość jednym łykiem. Wszyscy czekali w napięciu na to, co się stanie – i nagle, na twarzy Rejmunda pojawił się wyraz ulgi.

– To działa! – krzyknął uradowany. – To naprawdę działa!

Na Żołędziowym Placu rozległy się głośnie brawa i wiwaty, a wkrótce potem tłum unbobków uniósł Edka wysoko w górę i podrzucił go kilka razy.

– Hej, bobku! – zawołał do niego Rejmund. – Zbliź no się. Mów, co chcesz w nagrodę za okazanie mi pomocy?

– Wasza wysokość – odpowiedział Edek. – Nie chcę twojego tronu, ani wioski, ani bogactw.

– Nieee? – dziwiły się unbobki.

– Pozwól tylko – ciągnął Edek – wrócić do domu mnie i moim przyjaciółom, a także żukom błotnym, które więzisz. Ich żony na pewno bardzo się niepokoją.

– Dobrze – zgodził się Rejmund po chwili namysłu. – Powiedziałem, że dostaniesz cokolwiek zechcesz i słowa dotrzymam. Ale jak ja zbuduję nowe domki bez żuków?

– To bardzo proste – odrzekł Edek. – Pozwól żukom osiedlić się w pobliżu wioski i żyć tam spokojnie, a w zamian za to, one na pewno ci pomogą. Myślę, że możecie się zaprzyjaźnić. Może także zawrzesz pokój z bobkami? Chętnie będziemy służyć ci naszą wiedzą medyczną, w zamian za obronę. Pamiętaj, że jesteśmy dużo mniejsi od unbobków i dlatego częściej wpadamy w kłopoty. Nawet nie wiesz, jakie problemy mamy z dżdżownicami, które trują nasze fasolki podczas Dorocznego Przemarszu Pierścienic!

– Bobku, jesteś taki mały, a taki mądry – zachwycił się Rejmund. – Niech będzie tak, jak mówisz – powiedział ze łzami w oczach. – Przepraszam, wzruszenie odbiera mi mowę – dodał jeszcze i zamilkł.

– Wiwat! Wiwat Edek! – krzyczały bobki.

– Tak, niech żyje Edek! – zawtórowały im żuki i unbobki. – Na cześć Edka: hip hip hurrra!

Przyjęcie na Żołędziowym Placu trwało do białego rana. Dzięki Edkowi skończyły się wreszcie wszelkie spory i wszystkich połączyła wielka przyjaźń. Rejmund rzeczywiście dotrzymał słowa – następnego dnia po podwieczorku, bobki pożegnały się z mieszkańcami krainy unbobków i na grzbietach żuków błotnych ruszyły w drogę do domu.

Kiedy na horyzoncie pojawiły się pierwsze bobcze chatki, malcy zeskoczyli na ziemię i z głośnym śmiechem pobiegli w ich stronę. Odpowiedziały im wiwaty innych bobków, które cieszyły się z ich powrotu. Pośród tłumu Edek dostrzegł swoją ciocię, która przykładała do oczu wielką czerwoną chustę w białe grochy. Już po chwili wpadli sobie w objęcia i stali tak długo ściskając się, dopóki nie zgłodnieli.

Tak oto mały Edek uratował swoich przyjaciół. Odtąd bobki nie były już tak bojaźliwe, bo przyjazne unbobki zawsze ochoczo spieszyły im z pomocą, a żuki wróciły do swoich rodzin, by pomagać im w toczeniu błotnych kul.

Unbobki zrozumiały, że to nie władza jest tak naprawdę ważna, ale przyjaźń, a przyjaciół można zdobyć tylko będąc dobrym i miłym dla innych. Rejmund natomiast nauczył się, że nie wolno wyciągać pochopnych wniosków oraz, że zbyt duża porcja łakoci szkodzi zdrowiu. Z tą wiedzą panował mądrze jeszcze przez wiele lat. I tylko dżdżownice były niezadowolone z takiego obrotu sprawy i robiły demonstracje i protesty, ale to już w innej bajce.

AUTOR: PAULINA OLKO

„LISTEK”

Spacerując po wąskich alejkach parku na ulicy Złotej można dostrzec mnóstwo pięknych i okazałych drzew. Rosną tutaj buki, dęby i klony. Te ostatnie stanowią znaczącą przewagę spośród całej reszty.

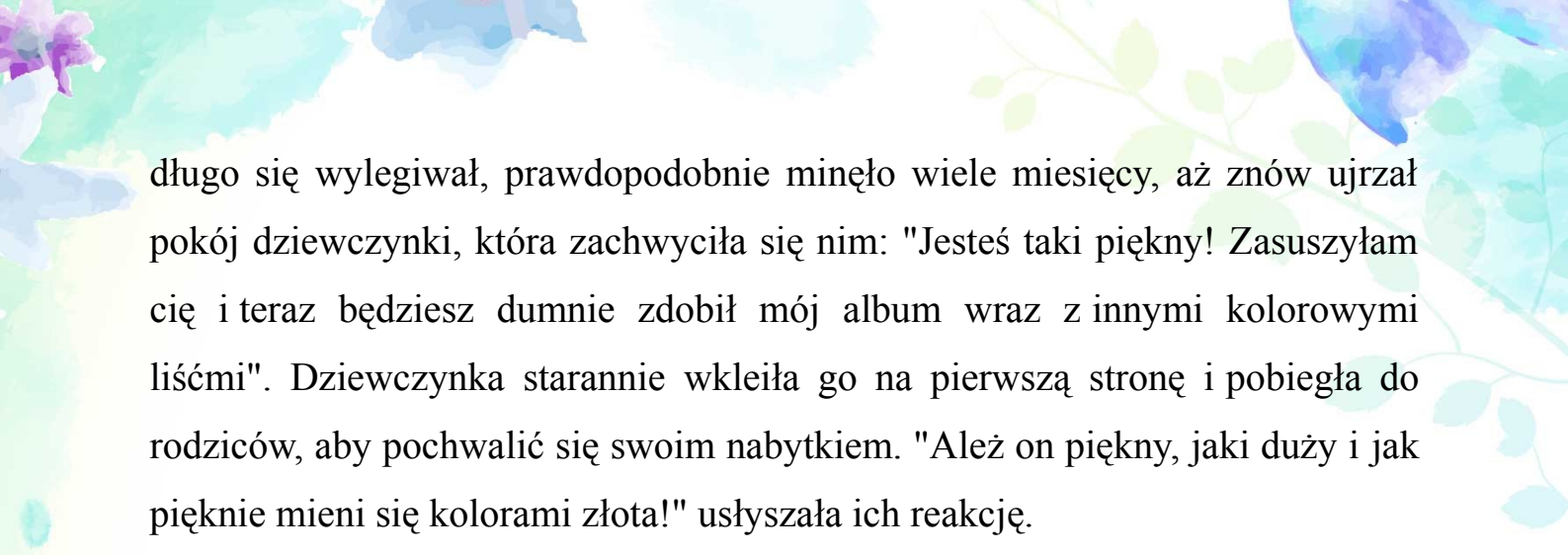
Wraz z nastaniem wiosny wszystkie drzewa pokryły się zielenią. Na jednym, niemalże najstarszym z nich rósł przepiękny klonowy liść, który głośno pokrzykiwał: "Jestem najpiękniejszy spośród was! Nikt nie ma tak soczystego zielonego koloru jak ja! Podziwiajcie mnie! Jestem niebywałym okazem!". Przechwałom małego listka nie było końca. Wszyscy spacerowicze podziwiali park i przepiękne drzewa, a wtedy duma rozsadzała kołyszący się z lekkim powiewem wiatru listek. Miał wrażenie jakby wszyscy skupiali swoją uwagę właśnie na nim i jego uroku.

Gdy dobiegało końca upalne lato, a mały listek nadal dumnie prezentował się na gałęzi potężnego drzewa, pojawiło się chłodniejsze powietrze. Pewnego pochmurnego ranka zerwała się burza, a wraz z nią ostra wichura. Korona klonu była mocno targana przez coraz to silniejsze podmuchy, wszystkie listki wpadły w panikę. Słabsza część z nich szybko odrywała się od gałęzi nie wytrzymując siły wiatru. Listek mocno trzymał się drzewa, ale w pewnym momencie i on został zerwany i zrzucony na ziemię. Tak rozpoczęła się jego wędrówka.

Chociaż burza ucichła, wiatr nie ustępował ani na chwilę, dlatego listek leciał wraz z jego podmuchem. W końcu trafił na plac zabaw, gdzie obserwował rozbawione dzieci, które w ogóle nie zwracały na niego uwagi, a jedynie ochoczo biegały po pozostawionych przez deszcz kałużach. Niestety nie miał dużo szczęścia, ponieważ wiatr skierował go wprost do jednej z nich, w której przemoczony i obłocony spędził całą noc. Listek przypominał sobie czasy swojej świetności, gdy to wszyscy z podziwem patrzyli na niego, gdy dumnie

prezentował koronę rozłożystego drzewa. Próbował się wydostać z tarapatów, ale nadaremnie, nie był w stanie wykrzesać z siebie resztki sił. Zrobiło mu się bardzo przykro i w tym momencie wiatr postanowił kontynuować jego podróż, dlatego poderwał go do góry i wywiał w kierunku pobliskiego osiedla. Zmęczony listek znalazł się na trawniku pośród innych swoich zielonych braci i sióstr. Pokrzepiony ich widokiem znów zaczął głośno mówić o swoim uroku, ale wywołało to śmiech wśród innych liści. Już nie był taki jak wcześniej, zauważył, że inne listki są dużo piękniejsze, a on mokry, zabłocony i mocno poszarpany nie stanowi już dużej wartości. Mocno zasmucony nie chciał już więcej pokazywać się światu.

Jego rozmyślenia przerwała płacząca dziewczynka, która siedziała na pobliskiej ławeczce. Listek postanowił, że zainteresuje się nią. Nie wiedział czemu była taka smutna, ale poczuł, że chce jej jakoś pomóc i postanowił ją rozbawić. Początkowo zaczął delikatnie łaskotać jej twarz, ale niestety został odepchnięty. Nie poddawał się i spróbował ponownie po czym dziewczynka mimowolnie zaczęła się uśmiechać. Następnie położyła go na swoich kolanach i opowiedziała mu o swoich problemach. Gdy zakończyła swoją opowieść wyraźnie było widać, że przestała się już smucić jak wcześniej i z uśmiechem podziękowała swojemu towarzyszowi za okazaną pomoc i poświęcony czas. Listek poczuł nagły przypływ szczęścia. Ucieszyło go, że pomimo tego, iż jego wygląd zewnętrzny nie stanowił już dużej wartości nadal potrafił dać komuś odrobinę radości. Znów poczuł, że jest coś wart! Rozradowany listek z osiągniętego przez siebie sukcesu postanowił opuścić ławkę, ale wtedy został pochwycony przez małą rączkę. Dziewczynka otarła łzy i zabrała go ze sobą. Udali się do wysokiego bloku, w którym mieszkała wraz z rodzicami i młodszym braciszkiem. Dziewczynka była wdzięczna listkowi za to, że odwrócił jej uwagę od problemu i potrafił jej wysłuchać, dlatego chcąc się odwdzińczyć za okazane serce osuszyła go i włożyła do dużej książki. Listek



długo się wylegiwał, prawdopodobnie minęło wiele miesięcy, aż znów ujrzał pokój dziewczynki, która zachwyciła się nim: "Jesteś taki piękny! Zasuszyłam cię i teraz będziesz dumnie zdobił mój album wraz z innymi kolorowymi liśćmi". Dziewczynka starannie wkleiła go na pierwszą stronę i pobiegła do rodziców, aby pochwalić się swoim nabytkiem. "Ależ on piękny, jaki duży i jak pięknie mieni się kolorami złota!" usłyszała ich reakcję.

Listek nie mógł w to uwierzyć! Znów był piękny, znów go podziwiali, na nowo odzyskał swoją krasę! Znów czuł się ważny. Był wdzięczny dziewczynce za jej troskę i zrozumiał, że to co komuś dajesz zawsze wraca. Zrozumiał również, że był zaślepiony pięknem zewnętrznym i nie dostrzegał, że to właśnie wewnątrz znaczy o wiele więcej.

AUTOR: AGNIESZKA BOLKO

„ŻABI PREZENT”

Nad niewielkim stawem w domku zrobionym z liści kaczęńca mieszka z rodzicami mała żabka. Ponieważ nigdy nie wychodzi z domu i wciąż ma smutny pyszczek, inne żabki nazywają ją Smutaskiem.

Smutasek przez okienko swojego domku codziennie przypatruje się innym żabkom pływającym w stawie. Podziwia ich pływackie zdolności, grę w piłkę wodną, a nade wszystko to, że wspólnie mogą spędzać czas.

– Och, jak te żabki zwinnie skaczą, jak pływają w wodzie! Jak sprytnie piłkę sobie podają! – mówi do siebie pełen zachwytu. – Jak cudownie bawić się razem! – wzdycha.

Chociaż Smutasek nie zna osobiście żadnej żaby ze stawu, doskonale pamięta imię każdej z nich. Wie, która to Plujka, Muszka, Długi języczek, Zielony Garniturek, czy też Skoczek. Smutasek smutno zwiesza łeppek, marząc o tej chwili, gdy sam będzie mógł pobawić się z innymi żabami. Tym bardziej jest mu smutno, że dzisiaj są jego urodziny i chociaż dostał od żabich rodziców dwupiętrowy tort zrobiony ze stu najtłustszych muszek, nikt nie przyszedł do niego w gości.

Żabka siedzi oparta łapką o okienko swego pokoju, które wychodzi akurat na otoczoną sitowiem wodę. Nagle widzi jakieś poruszenie wśród wszystkich grających w piłkę żab. Patrzy, a tu dwie żaby, duże, ciemnozielone i brzydkie czają się i podpływają pod sitowie.

– Wynoście się stąd! Che, che, che! – rechoce jedna z nich, tłusta i olbrzymia. – Oddajcie nam piłkę, też chcemy pograć!

Małe żabki przestają grać, inne zaskoczone wielkością obcych żab i niegrzecznym tonem ich wypowiedzi, zaprzestają pływania. Wszystkie patrzą przestraszone, bojąc się odezwać. Co dalej będzie? – myślą, trzęsąc się ze strachu.

– No już! – krzyczy druga żaba i łapką wypycha Plujkę z wody. – Już mi stąd! Wynocha!

– Jak wam nie wstyd?! – słyszą nagle wołanie Smutaska, wychylającego się z okna swego domku. – Takie z was zielone potwory?! Powinniście zrobić się czerwone ze wstydu!

Wszystkie żaby spoglądają w stronę Smutaska.

– Co to za mądrała! Che, che! – rechoce tłusta żaba. – Boi się wyjść z domu, dlatego taka odważna!

– A wy jesteście mądre, bo zaczepiacie mniejszych i słabszych! Chodźcie zmierzyć się z moim tatą! Jest taki duży jak każda z was!

Dwie żaby patrzą na siebie i zawstydzone odpływają, zostawiając w spokoju bawiące się żabki.

– Hej, Smutas, jak masz naprawdę na imię? – pyta Zielony Garniturek.

– Ja? Po prostu Żaba.

– Odważna Żaba! – mówi Długi Języczek, najlepszy w łapaniu much językiem na odległość.

– Chodź, popływasz z nami! – mówi Skoczek.

Smutasek zwiesza smutno głowę.

– Nie mogę.

– Szkoda – żabkom jest przykro, bo wystarczyło jedno zdarzenie, by poczuły sympatię do Smutaska. Z chęcią pobawiłyby się z kolegą, którego odwaga bardzo ich zadziwiła. Nie każdy odważyłby się bronić ich przed nieznanymi wielkimi żabami.

– Ale wy, wy możecie przyjść do mnie! – woła nagle z radością Smutasek.

– Pobawimy się w coś... Na przykład w łapanie much w locie albo w robienie musli ze skrzydełek much.

Żabki myślą, naradzają się i w końcu idą do Smutaska w odwiedziny. W progu domku wita ich zaskoczona mama. Tylu gości naraz! Mama dwoi się i troi, częstuje apetycznym tortem, wciąż daje dokładki.

Żabki patrzą zdziwione na Smutaska, który siedzi na wózku i odpychając się łapkami, kręci kołami, by podjechać do kolegów.

– Witajcie! – wita ich serdecznie i wyjaśnia zaraz: Tato skonstruował mi ten wózek, żebym mógł poruszać się po domu. Ale już niedługo będę miał operację i doktor mówił, że po niej będę pływał jak żaba.

Żabkom robi się trochę wstyd; nie wiedziały, że Smutasek ma kłopoty z nogami, dlatego całe dnie spędza w domu.

– Fajny wóz – odzywa się Plujka. – A ile ma biegów? – żartuje.

Wszyscy zaczynają się śmiać, a po chwili już każda żabka ma pomysł, jak to zrobić, żeby ich nowy kolega mógł bawić się z nimi. Z pomocą przychodzi tata. Zabiera Smutaska na wózku nad staw. Żaby rzucają piłkę do Odważnej Żaby.

– Łap! – wołają.

Smutasek wraca do domu zmęczony. Mama żaba uśmiecha się całym pyszczkiem. Jest tak samo szczęśliwa jak jej dziecko.

– Wiesz mamo, dzisiaj dostałem najwspanialszy urodzinowy prezent...

AUTOR: DOROTA LIZUREJ

„W KRÓLESTWIE POMPONÓW”

Bardzo, bardzo daleko, za wielkim Szarym Lasem, w krainie Gdybygdymy, tuż pod szczytem Śnieżnej Góry istniało małe Królestwo Pomponów. Rządził nim Król Polipompon i jego małżonka Królowa Pulpasja. Nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby nie fakt, że królowa była bardzo znudzona. Nic nie było w stanie przywołać na jej lica uśmiechu. Siedziała na swoim tronie, dłubała paznokciem w oparciu i potwornie ziewała. Król, który kochał żonę do szaleństwa od dawna dostarczał jej różnych rozrywek.

Urządzał wystawne bale. Zapraszał gości z odległych królestw, serwował najlepsze produkty, które dostarczali mu dworzanie, najlepsi muzycy grali wymyślne pieśni, a krawcowa i szewc prześcigali się w pomysłach, żeby zadowolić królową. A to w trzewikach znalazła się złota nić, a to w gorsecie sukni użyto najbardziej miękkiego materiału. Ale wysiłki i trud na nic się zdały. Królowa nudziła się jak mops i pewnego razu zasnęła na bardzo ważnym bankiecie, a obrażeni goście opuścili salę tronową zlorzeczając królestwu.

Zrozpaczony Polipompon załamał ręce. Chodził zasmucony po dziedzińcu i kręcąc głową mamrotał pod nosem, że już nie ma siły i pomysłów na uszczęśliwienie żony. W pewnym momencie jego wzrok padł na napis na murze obronnym, który wykonał kiedyś jego pradziad:

*Prawdziwe szczęście odczujesz,
z tego co sercem dokonujesz.*

Króla olśniło i czym prędzej pognął do komnat królowej. Z pomocą dam dworu i służących, wyniósł śpiącą żonę przed bramy zamku, ułożył na wozie z sianem, złożył na jej czole czuły pocałunek i zamknął wrota.

Pulpasja obudziła się nazajutrz i przecierając oczy ze zdumienia rozejrzała się wkoło. Ze zdziwieniem stwierdziła, że nie znajduje się w swoim łóżu, a na dworze i to na stogu siana. Zawołała służbę, ale nikt nie przyszedł. Zsunęła się

ze sterty kłującej suchej trawy i zaczęła rozglądać za sukniami, niestety nie znalazła ich. Królowa musiała chodzić w stroju kuchcika, który założyły jej w nocy damy dworu. Postanowiła wyjaśnić całą tę sytuację z królem, ale kiedy zapukała do wrót, życząc sobie wizyty z władcą, została wyśmiana i wyprowadzona przez strażnika do wioski.

Przerażona i głodna królowa zapukała do domu handlarza Pompucha, u którego miała nadzieję na śniadanie. Kiedy uchyliły się drzwi, zapytała:

– Witajcie, dobry człowieku. Czy znajdzie się strawa dla waszej królowej?

– Królowej tu nie widzę, ale jak chcesz coś zjeść to musisz na to zapracować. Chodź, moja żona potrzebuje pomocy w pakowaniu mąki w worki. Jeśli jej pomożesz, możesz liczyć na zapłatę w postaci posiłku.

Zaskoczona Pulpasja podążyła za handlarzem i wzięła się do pracy. Po odmierzeniu stu worków mąki i zawiązaniu ich mocnym sznurkiem, została zaproszona na obiad. Na stole znalazła pokruszony chleb, maślanekę i trochę soli. Zdziwiona, zapytała Pompucha, dlaczego tylko to jadają, a ten odpowiedział:

– Masło, bochny chleba i mięso trafiają na stół naszego władcy. Naszej królowej trudno dogodzić, wszystko ją nudzi, więc król wydał dekret o wydawaniu tylko najlepszych produktów i dostarczaniu ich bezpośrednio do zamku. To co pozostaje – zjadamy.

Pulpasja przyłożyła dłoń do ust, podziękowała za posiłek i wyszła z domu handlarza. Tych kilka słów prawdy tak nią wstrząsnęło, że postanowiła zobaczyć jak to jest u innych mieszkańców osady. Dotarła do drzwi krawcowej Pompali, u której w zamian za zwijanie ciężkich bel materiału, otrzymała okrycie, które ją drapało i przy każdym ruchu powodowało, że całe ciało swędziało. Załamana Pompala opowiedziała o dekrete wydanym przez parę królewską, w którym mowa o tym, że do dworu trafiać mogą jedynie najpiękniejsze stroje z najlepszych tkanin, przetykanych złotą nicią. Te, które

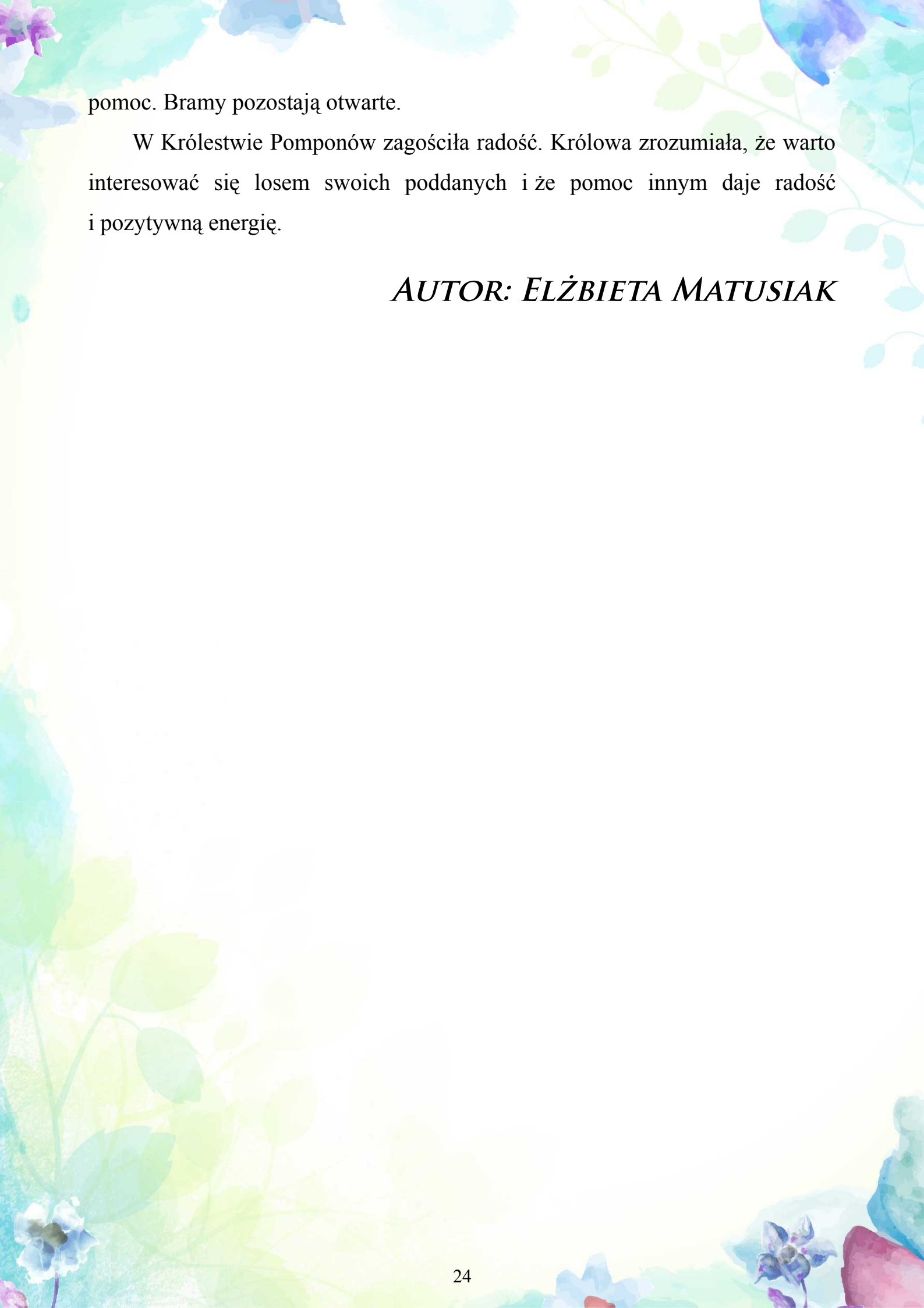
zostają może nosić lud. Królowa oniemiała ze zdziwienia. Uściskała serdecznie krawcową i pobiegła do kolejnego rzemieślnika – szewca Pimpiszona.

U szewca było podobnie. Żeby dostać parę trzewików, wykonanych z resztek skóry, królowa musiała wkładać w oczko szpili dratwę i podawać ją rzemieślnikowi. A kiedy skończył szyć buty, posprzątała i wywietrzyła izbę. Od Pimpiszona dowiedziała się, że to w czym muszą chodzić, to skrawki materiałów pozostałe po produkcji królewskich pantofli. Pulpasja wyściskała szewca i postanowiła wrócić do zamku i za wszelką cenę spotkać się ze swoim mężem – królem.

Miała w głowie plan i musiała go szybko zrealizować. Nie wiedziała jednak jak przekonać strażników, żeby wpuścili ją na dziedziniec zamku. Kiedy dotarła do wrót zamku, Polipompon czekał już na nią z nieodgadnionym wyrazem twarzy. Królowa rzuciła się mężowi na szyję, ucałowała go serdecznie i czym prędzej pobiegła do zamku. Nim pojawiły się pierwsze gwiazdy na niebie, królowa zebrała na dziedzińcu całą służbę, pomagała rozstawić stoły i przygotować ucztę ze wszystkich produktów nagromadzonych w spiżarniach. Z wielkich okiennic zniknęły ciężkie, złożone zasłony, szafy opustoszały, suknie i peleryny zostały rozprute i zwinięte w zgrabne bele materiału, a buty, pantofle i królewskie kapcie ustawione równo pod murem.

Królewscy posłańcy roznieśli wieści o wielkiej uczcie, więc na przyjęciu nie zabrakło nikogo. Kiedy rzemieślnicy zobaczyli, że osoba, która im pomagała w pracy to królowa, skłonili nisko głowy i z zakłopotaniem prosili o wybaczenie. Pulpasja wstała i rzekła:

– Moi drodzy, do tej pory żyłam w wielkiej nieświadomości. Dni mijały mi na nudzie i na dumaniu nad sobą. Dzięki temu, że mogłam dla was pracować zrozumiałam, co w życiu jest ważne. Wprowadzam zmiany. Od tej pory będziecie mogli przyodziewać się w to na co macie ochotę, jadać to co chcecie, a wieczorami spędzać miło czas. Od tej pory zawsze możecie liczyć na naszą

A decorative watercolor border featuring various flowers and leaves in shades of blue, green, and purple, framing the text on the page.

pomoc. Bramy pozostają otwarte.

W Królestwie Pomponów zagościła radość. Królowa zrozumiała, że warto interesować się losem swoich poddanych i że pomoc innym daje radość i pozytywną energię.

AUTOR: ELŻBIETA MATUSIAK

„JEŻYK PAFNUCY”

To będzie bardzo udany dzień! – pomyślał jeżyk Pafnucy wysuwając nosek z norki i czując na nim ciepły promyk słońca.

Zaczynała się wiosna i dookoła czuć było oszałamiający zapach pierwszych kwiatów, świeżej ziemi i przede wszystkim smakowitych pędraków, które również wychodziły z zimowych kryjówek.

Po długiej i mroźnej zimie, którą spędził śpiąc zwinięty w kulkę, jeżyk był bardzo spragniony jakiejś tłustej dżdżowniczki, ślimaka, albo innego jeżowego smakołyku. Mama jeszcze spała, ale burczenie w brzuszku nie pozwoliło Pafnucemu poczekać na jej przebudzenie. Postanowił sam wybrać się na poszukiwania. A nuż zdobędzie coś naprawdę pysznego i zrobi mamie niespodziankę? Pofukując pod noskiem wy dostał się z norki, przysypał wejście suchymi liśćmi, żeby nikt nie niepokoił Mamy i udał się w drogę. Był bardzo dumny z siebie, że jest już taki duży i że sam zadba o jedzenie.

– Witaj motylku! Piękna wiosna, prawda? Idę poszukać jakichś smakołyków dla mamy, bo pewnie obudzi się głodna. Mi też już ślinka cieknie na myśl o jakimś robalu. Dobrze, że jesteś już motylem, bo inaczej nie pogardziłbym apetyczną gąsienicą!

– A ty nie za mały jesteś, żeby chodzić sam? Nie boisz się kota albo innego drapieżnika? Tak jak ty zjadasz gąsienice, tak oni mogą pożreć małego jeżyka!

– A tam! Nikogo się nie boję, w końcu jestem już duży! – pobiegł chwilę za motylkiem podskakując wesoło, potem chwilę tropił ślad ślimaka, a następnie pomaszerował dalej, nie oglądając się za siebie.

– Żabo, żabo, poczekaj chwilę, pokaż jaka jesteś duża! Może mógłbym cię zjeść?

– Chyba sobie żarty stroisz języku! Jestem wielką ropuchą, a poza tym i tak mnie nie złapiesz! – i poskakała dalej.

Pafnucy usiłował ją schwytać, ale szybko zniknęła mu z oczu, rechocząc z satysfakcją. Język postanowił więc odnaleźć jakieś mniej skaczące pożywienie. Był już tak głodny, że zjadłby nawet zgniłe jabłko, ale tych już nie było po zimie.

Wędrował już dosyć długo, nie napotykając niczego do jedzenia, oprócz kilku biedronek i muszek, które również nie dały się złapać. Powoli ból zmęczonych łapek zaczął przyćmiewać burczenie w brzuszku, a okolica przestała być znajoma. Co gorsze zaczęły się zbierać chmury i robiło się coraz ciemniej. Zaniepokojony postanowił spytać się o drogę powrotną.

– Panie wróblu! Gdzie ja jestem? I gdzie są wszystkie smakowite dżdżownice?

– Jak to gdzie, języku? Jesteś na łące. A dżdżownice powyjadałem razem z kolegą szpakiem. Nieprędko się znowu wychylą. Mogę ci jakoś pomóc?

– Chciałbym z powrotem trafić do mamy i do naszej norki! – wysapał trochę już wystraszony język.

– A gdzie jest ta twoja norka? Nic nie widzę, nawet z góry.

– Norka jest koło korzenia dużego drzewa, nie wiem jak się nazywa, obok jest trawa i kwiaty. Wejścia nie widać, bo przysypałem je suchymi liśćmi.

– Języku, powinieneś znać swój adres, bo ciężko nam będzie odnaleźć twój dom. Może pamiętasz jak się nazywacie, to popytam inne wróble, może któryś was zna?

– Ja jestem Pafnucy, a mama to Mama... – chlipnął zupełnie już przerażony język.

– Rozumiem, że nazwiska też nie pamiętasz. Trudno, popytam czy ktoś nie kojarzy języka Pafnucego i norki koło drzewa, ale będzie ciężko, ostrzegam cię. Tymczasem schowaj się lepiej w tych krzakach i czekaj na mój powrót,

żeby cię kot nie zauważył.

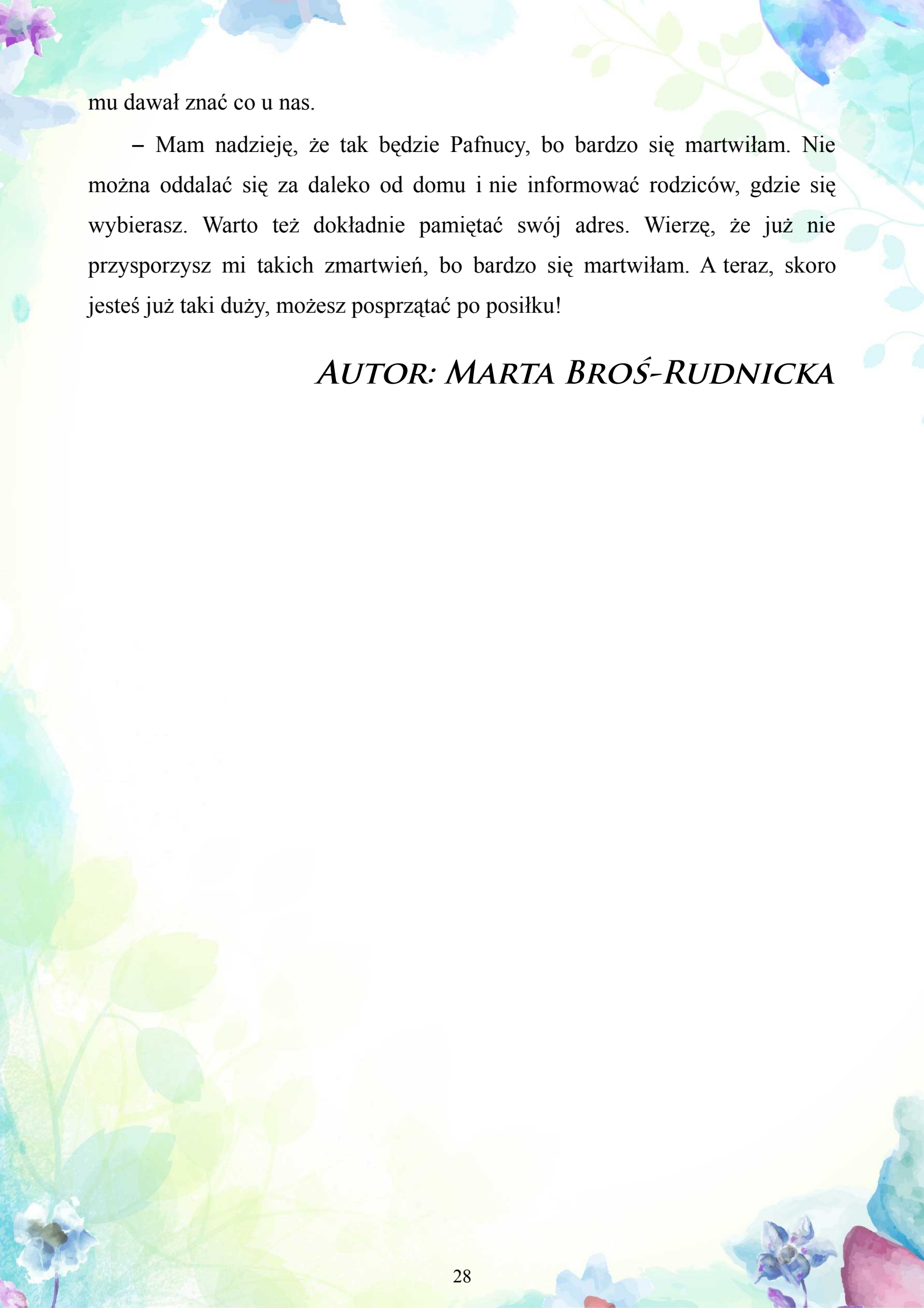
Pafnucy schował się szybko w krzakach i czekał z niecierpliwością, nie zauważając nawet tłustego pająka, który jeszcze niedawno stanowiłby dla niego wyśmienitą przekąskę. Zwinął się w ciasną kulkę i myślał tylko o przytulnej norce i mamie, która na pewno się zamartwia. Każdy szelest sprawiał, że stroszył mocniej kolce, w oczekiwaniu na pacnięcie łapą przez wygłodniałego kocura. Dookoła robiło się coraz ciemniej i zaczął mżyć deszcz. Jeżyk pochlipywał cichutko, obiecując sobie, że jak uda mu się wrócić do domu, to już zawsze będzie grzeczny i posłuszny. Wydawało mu się, że minęła wieczność, zanim usłyszał trzepot skrzydeł i głos wróbla.

– Masz szczęście języku, że twoja mama się obudziła i wyszła na poszukiwania, bo nigdy nie znaleźlibyśmy twojej norki. Zawędrowałeś bardzo daleko. Już chcieliśmy dać za wygraną, kiedy usłyszeliśmy z oddali nawoływania. Mama bardzo się denerwowała i płakała. Chodź teraz za mną, poprowadzę cię. A na przyszłość zapamiętaj dokładnie: nazywasz się Pafnucy Jeżewski, twoja mama to Euzebia Jeżewska, a mieszkacie na Norkowej 24.

Wróbel leciał nisko, czekając na języka, a ten szybko biegł za nim, powtarzając sobie pod noskiem swój adres i nazwisko, żeby już nigdy go nie zapomnieć.

Przed norką stała zapłakana mama, która najpierw chwyciła go w objęcia, a potem dała mu solidną reprimendę, którą jeżyk wysłuchał ze spuszczoną głową. Wiedział, że bura mu się należy i wiedział też, że już nigdy więcej nie przysporzy mamie takiego zmartwienia. Z ulgą wszedł do przytulnej norki i zjedli razem z mamą wielką dżdżownicę, którą przyniósł im wróbel, któremu też ulżyło, że cała przygoda się dobrze skończyła.

– Mamusiu, obiecuję ci, że nie będę się sam oddalał z domu i pamiętam, że nazywam się Pafnucy Jeżewski z Norkowej 24. Teraz już tylko z tobą będę szukał jedzenia i razem będziemy odwiedzać wróbla, bo obiecałem mu, że będę

A decorative watercolor border featuring various flowers and leaves in shades of blue, green, and purple, framing the text on the page.

mu dawał znać co u nas.

– Mam nadzieję, że tak będzie Pafnucy, bo bardzo się martwiłam. Nie można oddalać się za daleko od domu i nie informować rodziców, gdzie się wybierasz. Warto też dokładnie pamiętać swój adres. Wierzę, że już nie przysporzysz mi takich zmartwień, bo bardzo się martwiłam. A teraz, skoro jesteś już taki duży, możesz posprzątać po posiłku!

AUTOR: MARTA BROŚ-RUDNICKA

„W POSZUKIWANIU ZAGINIONEJ GWIAZDY”

Krzyś był grzecznym, ośmioletnim chłopcem. Wraz ze swoimi rówieśnikami – Zosieńką i Łukaszkiem tworzyli zgraną paczkę. Cała trójka, wraz ze swoimi rodzinami mieszkała w pięknym malowniczym miasteczku o nazwie Pogodynkowo.

Miasteczko nazwę swą wzięło od pogodnych nastrojów mieszkańców. Zawsze mieli dobry humor, uśmiechali się do innych i chętnie pomagali potrzebującym. Niestety pewnego razu wszystko diametralnie się zmieniło. Niebo przysłoniły ciemne chmury, było zimno i padał deszcz. Mama Łukaszka wstała w złym humorze. Rodzice Krzysia od samego świtu bardzo się kłócili. Tymczasem siostra Zosieńki podłożyła jej nogę, tak, że dziewczynka upadła i boleśnie uderzyła się w kolano. Coś było nie tak. Gdy tylko nasza trójka bohaterów wyszła na ulicę zauważyła kwaśne miny przechodniów, dokuczanie sobie nawzajem. Co gorsza, nikt im nie odpowiedział na grzecznościowe "dzień dobry"! Dzieciaki czym prędzej udały się do starszej pani, która siedząc ciągle w oknie z okiennicami widziała wszystko. To od niej dowiedzieli się, co stało się minionej nocy! Zły Pan, w ciemnym płaszczu ukradł z nieba najjaśniejszą gwiazdę! Tą, która uszczęśliwiała mieszkańców Pogodynkowa!

– To teraz już tak zawsze będzie? – zmartwił się Krzyś. – Już nigdy nie zobaczymy uśmiechniętych ludzi, a nasi rodzice ciągle będą się kłócić?

Starsza pani pokiwała głową:

– Nie musi tak być. Gwiazdę odzyskać mogą tylko ci, których nie dosięgnie zła magia. Którzy nadal, wbrew wszystkiemu będą uśmiechnięci i dobrzy. Tacy, jak wy, kochane dzieci. Jestem pewna, że uda wam się odzyskać zaginioną gwiazdę i przywrócić szczęście w Pogodynkowie.

Dzieciaki popatrzyły na siebie i już wiedziały, że zrobią wszystko, by uratować miasteczko przed smutkiem i marazmem.

– Tylko, jak my znajdziemy tego Złego Pana? – zapytała Zosieńka.

– Idźcie w stronę lasu – rzekła starsza pani. – A dalej niech was poprowadzi głos serca. Tylko pamiętajcie – tylko osoby dobre i uśmiechnięte będą mogły odnaleźć gwiazdę.

Dzieci czym prędzej ruszyły w stronę lasu. Wypełniała je odwaga, bo wiedziały, że tylko oni mogą uratować mieszkańców Pogodynkowa przed złością i gniewem.

Długo maszerowali. Nastął zmrok, gdy dotarli do skraju lasu. Gdy mieli wchodzić w jego głąb złapali się za ręce, dodając sobie otuchy. Wędrowali między drzewami, przeskakiwali przez strumyki, zjadali się leśnymi owocami. Jednak w dalszym ciągu nie wiedzieli, gdzie szukać gwiazdki. Starsza pani mówiła, że serce im wskaże drogę, jednak nie wskazywało. Biło coraz mocniej, przerażone otaczającą dzieci ciemnością i odgłosami w głębi lasu. Wędrowali, wędrowali, a celu nie było widać. Coraz bardziej byli zmęczeni, senni, głodni. Nogi powoli odmawiały posłuszeństwa, jednak ciężąca na nich odpowiedzialność dawała im siły, by iść dalej i dalej i dalej. Było coraz bardziej zimno.

– Bo to wszystko twoja wina! – krzyknął Łukaszek do Krzysia. – Zawsze coś wymyślisz, a my musimy się teraz męczyć!

– A co to? Ja ci kazałem iść? – odkrzyknął Krzyś. – Łazisz za mną wszędzie, a tak naprawdę nigdy nie będziesz tak odważny jak ja!

– Ja nie jestem odważny? Ja? To ty telepiesz portkami w lesie! I nie muszę z tobą nigdzie chodzić! Założę swoją dzielną drużynę! I wtedy zobaczysz! – Łukaszek obraził się na Krzysia śmiertelnie.

– Ha! Ha! Ha! Ha! – zaśmiał się Krzyś. – Ty i dzielna drużyna! Chciałbym to zobaczyć.

– Chcesz się przekonać, chcesz? – Łukaszek zacisnął pięści, gotów do bójki z przyjacielem.

– Uspokójcie się! – krzyknęła Zosieńka. – Co wy robicie? Kłóćcie się jak wszyscy dookoła. Myślałam, że nas to nie dotyczy, przecież jesteśmy najlepszymi przyjaciółmi. Pamiętacie, co mówiła starsza pani? Że tylko osoby uśmiechnięte i dobre mogą odnaleźć gwiazdę. A jak myślicie? Czy najlepsi przyjaciele, którzy tak się kłócą o drobnostkę zasługują na zaufanie?

Krzyś i Łukaszek spuścili głowy. Wstydzili się.

– Przepraszam – cichutko rzekł Łukaszek.

– I ja przepraszam – Krzyś podał przyjacielowi rękę.

Wtedy pomiędzy drzewami, w oddali zauważyli jasne światło.

– To gwiazda – z zachwytem rzekł Krzyś. – Chodźmy tam.

Przyjaciele ruszyli w stronę złotego blasku. Zbliżali się coraz bliżej. Już widzieli gwiazdkę na leśnej polanie. Cichutko na paluszkach zbliżali się po nią, gdy poczuli spadająca na nie sieć. To Zły Pan uwięził dzieci. Nie mógł dopuścić, by gwiazda została mu odebrana.

– Hahahahaha! – zaśmiał się Zły Pan. – Nigdy nie oddam wam gwiazdy! Nigdy! Jest moja, moja, moja! A wy będziecie moimi sługami!

Dzieci były przerażone. Nie wiedziały jak wydostać się z pułapki. Szanse na to, by ktoś je odnalazł były bardzo małe, bo znajdowały się w środku gęstego lasu.

Złapały się za ręce, by dodać sobie otuchy. Zosieńka położyła głowę na ramieniu Łukaszka. Coś ją zakuło. To kurtka chłopca zdobiona była ostrymi elementami, które mogły okazać się pomocne...

Tymczasem Zły Pan grzał się blaskiem gwiazdy. Ze swej torby wyciągnął jedzenie. Nie pomyślał jednak o głodnych dzieciach, uwięzionych w sieci. Gdy już się najadł, poczuł senność, powieki zaczęły mu opadać. Zasnął głębokim snem. Na to właśnie czekały dzieci. Szybko udało im się wyrwać ostry element kurtki Łukaszka, po czym przecięli sieć. Cichutko podeszli do gwiazdy. Wyciągnęli ręce, by jednocześnie jej dotknąć. Gdy to zrobili, las rozbrzysnął

milionem światel, zakręcili się i w kilka sekund przenieśli się do miasteczka, prosto pod okna starszej pani, która niepokoiła się już o dzieci. Miała nawet wyrzuty sumienia, że namówiła je na tak ryzykowną wyprawę. Poczuli wielką ulgę na widok zdrowych i uśmiechniętych dzieci. Wtedy ponownie gwiazda zabłysła, zawirowała i wróciła na swoje miejsce na niebie. Dzieci pomachały gwiazdce i starszej pani i czując ogromną senność pomaszerowały do swoich domów.

Ranek powitał ich piękną, słoneczną pogodą. Rodzice uśmiechnięci przygotowywali śniadanie. Widać wszystko wróciło na swoje miejsce!

Krzyś, Zosieńka i Łukaszek nie mówili nikomu o swej nocnej przygodzie. Postanowili jednak odwiedzić starszą panią i opowiedzieć jej, co się działo w głębi lasu. Przyznali się również do kłótni. Opowiedzieli też o tym, jak się uwolnili z pułapki.

– Bo widzicie moi kochani – rzekła starsza pani – przyjaźń jest tak pięknym zjawiskiem, dzięki któremu można góry przenosić. Jeśli wiemy, że jest ktoś, kto stanie za nami murem, kto nam pomoże, to wszystko jest prostsze. Największe problemy można pokonać, jeśli mamy z kim. Was uratowała siła przyjaźni, współpracując uciekliście Złemu Panu. Pielęgnujcie waszą przyjaźń, bo to największy skarb!

A co się stało ze Złym Panem? Błąka się po lesie, szukając wyjścia. Powiem Wam w sekrecie, że z pułapki uwolni się dopiero wtedy, gdy stanie się dobrym człowiekiem. Takim, jak mieszkańcy Pogodynkowa.

AUTOR: MONIKA DZIĘGIELOWSKA

„O TYM, JAK LUKRECJA ZACZĘŁA JEŚĆ ZDROWO”

To śliczna bajeczka nie tylko o dobrych wróżkach, ziejących ogniem smokach, tajemniczych trollach, przeróżnych baśniowych istotach zamieszkujących cudowną dolinę... lecz także o czymś tak bardzo ważnym, co wpływa na nasze zdrowie. Chcecie wiedzieć co to takiego? To posłuchajcie...

Dawno, dawno temu, w odległej krainie mieszkała mała księżniczka o słodkim imieniu Lukrecja. Dziewczynka miała 7 lat, a jej mama i tata byli królową i królem Lukrowej Doliny. Wszystkie ziemie, które mieli we władaniu były wyjątkowe, bowiem stworzone zostały przed setkami laty przez Lukrową Wróżkę, która za sprawą czarodziejskiej różdżki posypała całe królestwo cukrem pudrem, łąki i kwiaty oblała lukrem, wyczarowała domy z piernika, a w ogródkach zasadziła landrynkowe kwiaty. We wszystkich rzekach Lukrowej Doliny zamiast wody płynie sok malinowy, natomiast sam zamek króla i królowej zrobiony jest z czekolady.

Wszyscy mieszkańcy tego magicznego miejsca są bardzo szczęśliwi, ponieważ słodczy i rarytasów mają w brud, natomiast mała Lukrecja codziennie na śniadanie dostaje kubek gęstej czekolady, do tego stos ciasteczek, na obiad zjada pyszny tort z bitą śmietaną, a na kolację je lody bananowe. Dziewczynka dzięki takim posiłkom uważa, że jest najszczęśliwsza na świecie, ale rodzice bardzo się o nią martwią. Ostatnio dziewczynka bardzo przytyła, nie ma siły się bawić i ruszać się tak jak inne dzieci. Jednak przez wzgląd na tradycję rodzice kontynuują wszystkie te zwyczaje i w obawie, że Lukrowa Wróżka rozgniewa się na nich, nieustannie obsypują swoją córeczkę słodyczami.

Pewnego pięknego dnia, zaraz po przebudzeniu Lukrecja jak zwykle na

śniadanie zjadła całą miseczkę ciastek i czekoladowych cukierków. Po posiłku wyszła na spacer i z podniesioną głową zerkiała na wszystkie bawiące się dzieci, które biegały, ganiały się i śmiały, trzymając się za brzuchy. Miała wielką ochotę przyłączyć się do nich, ale nie była w stanie nadażyć za ruchliwą gromadką. Dzieci bowiem nie miały takiego przywileju jak mała księżniczka i nie zjadały się samymi słodyczami. Jadły za to dużo warzyw i owoców, które dostarczały im wszelkich niezbędnych sił witalnych. Dlatego dzieci miały taką ochotę na zabawę.

– Warzywa i owoce? – zdziwiła się Lukrecja, gdy dowiedziała się, co zwyczajne dzieci jedzą najczęściej. – Phi! Paskudztwo! Ja jestem lepsza od innych! Moi rodzice są bogaci i mam prawo zjadać się tylko samymi słodkościami.

Po pewnym czasie Lukrecja wyrosła ze wszystkich swoich przepięknych sukienek i trzeba było zatrudnić krawca, aby uszył jej nowe, o trzy rozmiary większe. Król i królowa robili smutne miny, natomiast dziewczynka domagała się coraz większej ilości czekolady i łakoci. Któregoś dnia Lukrecja jak zwykle wyszła na samotny spacer po królestwie, jednakże tym razem zapuściła się nieco dalej na nieznane jej tereny. Zauważyła, że krajobraz zmienił się tutaj nie do poznania: łąki i lasy nie były pokryte słodkim lukrem, a w rzeczkach i potokach zamiast soku malinowego płynęła zwyczajna woda.

– Witaj! – ktoś krzyknął jej za plecami.

Księżniczka odwróciła się gwałtownie i zobaczyła przed sobą małą, uśmiechniętą dziewczynkę, która miała rude włosy jak marchewka i mnóstwo piegów na nosku.

– Jestem Hania i mieszkam w tej wiosce – powiedziała dziewczynka i wskazała paluszkami na kilka zwyczajnych, drewnianych domków.

– A ja jestem Lukrecja i jestem księżniczką Lukrowej Doliny – powiedziała Lukrecja podniesionym głosem.

– To super – odparła Hania – może pobawimy się razem?

– No... nie wiem czy powinnam... ty wyglądasz zupełnie inaczej niż ja... ubrana jesteś w łachmany i chyba jesteś biedna...

– Tak, to prawda. Jestem biedna, ale mimo tego mam ochotę pobawić się z tobą w berka! Gonisz mnie! – krzyknęła Hania i zaczęła uciekać.

Dobry nastrój do zabawy udzielił się także Lukrecji, która zaczęła gonić Hanię, ale za chwilę po krótkim biegu nie mogła złapać oddechu i przystanęła pod pobliskim drzewem.

– Co się stało?! – zawołała zatroskana Hania.

– Nic się nie stało, po prostu ty oszukujesz! Dlatego nie mogę cię złapać! Jestem najszybsza w całym królestwie, a ty jesteś zwykłą, biedną oszustką, która nawet nie ma w domu cukierków!

– To nieprawda – powiedziała Hania ze smutkiem w głosie. – Ja nigdy nikogo nie oszukałam, a to, że nie mam cukierków w domu... cóż, tutaj może i masz rację, ale dzięki temu, że rodzice odżywiają mnie prawidłowo, mam siłę na zabawę i jestem zdrowa.

– Ja też jestem zdrowa i już więcej nie będę się z tobą bawić! – krzyknęła ze złością księżniczka i zostawiła smutną Hanię na łące pod jej domem.

Lukrecja wracając do domu przez cały czas myślała o zaistniałej sytuacji, o małej dziewczynce, która mimo tego, że była szczuplejsza od niej, miała wiele siły na to, żeby ją prześcignąć. Mało tego, była biedna i nie jadła słodczy, mieszkała w zwyczajnym, drewnianym domku, a nie chatce z piernika, jadła warzywa i owoce, piła także zwyczajną źródlaną wodę, a mimo wszystko była zdrowa i bardzo szczęśliwa.

– Może trochę przesadziłam...? – biła się z myślami. – Przecież Hania była dla mnie bardzo miła i zaprosiła mnie do wspólnej zabawy...

Nie dokończyła myśli gdy zza wielkiego drzewa wyleciał wielki i ziejący ogniem smok.

– O rety! – krzyknęła przestraszona Lukrecja i w tej samej chwili smok ją zauważył i wydal z siebie straszliwy ryk.

Dziewczynka zaczęła uciekać. Przedzierała się przez gęste zarośla, przemierzyła strumyk i przeskakiwała przez zwalone drzewa. Smok był tuż za nią, a księżniczka z każdą chwilą traciła cenne siły. Ze smutkiem stwierdziła, że nie ma siły dłużej uciekać i poddała się padając na miękką trawę. Smok już do niej podlatywał, gdy nagle...

– Stój i zostaw ją! – krzyknął znajomy głosik. – Masz, zjedz to na obiad!

Lukrecja zaskoczona odwróciła się i zobaczyła małą dzielną Hanię, stojącą na wprost smoka i trzymającą w ręku ogromny tort z bitą śmietaną i wisienką.

– To twój posiłek! Nie wolno jeść małych dziewczynek! To moja koleżanka! – ale smok był już zainteresowany tortem i Hania wrzuciła mu go do paszczy.

Lukrecja schowała się za plecy Hani, która wyjęła zza pazuchy jeszcze jeden tort, potem kolejny i kolejny... Po jakimś czasie smok był tak przejedzony, że zaczął go boleć brzuch, więc zawył ze złości i odleciał.

– Nie wiem jak mam ci dziękować Haniu! – powiedziała Lukrecja.

– Za nic nie dziękuj, tylko pobaw się ze mną w berka.

– Ale ja nie dam rady. Czuje się jak ten przejedzony smok. Miałas rację sugerując mi, że jem za dużo i nie odżywiam się zdrowo. Przez to nie mam siły żeby biegać i bawić się z tobą w berka – powiedziała z żalem w głosie Lukrecja.

– Nie chciałam być niemiła, ale zauważyłam to od razu. Troszkę mi ciebie żal, bo wspiania zabawa jest o wiele lepsza niż czekolada i ciastka. Zobacz co się stało ze smokiem. Od tego jedzenia nie może latać i jest cały obolały!

– To prawda – przyznała Lukrecja, do której nagle dotarło to, że nie ten bogaty, który zjada cukierki i ciastka z bitą śmietaną, lecz ten który odżywia się zdrowo i dzięki temu może normalnie funkcjonować. Dziewczynka zrozumiała,

że traciła bardzo wiele odżywiając się nieprawidłowo. Natomiast mała Hania, która lubiła owoce, warzywa oraz normalne posiłki była tak naprawdę bogata. Miała przyjaciół, była wesoła, promienna i zwinna.

– Jak mogłam być dla ciebie taka niemila? – zapytała Hanię Lukrecja. – Uświadomiłaś mi tyle ważnych rzeczy...

– Już się nie przejmuj. Chodź do mnie do domu, mama przygotowała obiad.

Dziewczynki udały się do małej, drewnianej chatki, w której mieszkała Hania. Jej mama podała na obiad marchewkę z groszkiem, kotleta i sałatkę. Do popicia była woda, a na deser jabłko i banan. Lukrecja zjadła wszystko ze smakiem, po czym stwierdziła, że marchewka i groszek, a także jabłko i banan też są słodkie, natomiast mięso i warzywa są pyszne i nie powodują uczucia senności tak jak tłuste ciastka.

– Tak, to prawda – powiedziała mama Hani, a jej tatuś pokręcił znacząco głową – słodczyce nie są zdrowe w nadmiarze, można je zastąpić czymś innym. Zobacz, sałatki możesz zjeść dużo i nie masz ochoty po niej iść spać na wiele godzin. Masz za to dużo energii na zabawę i bieganie, natomiast owoce są równie słodkie jak słodczyce, za to o wiele zdrowsze i smaczniejsze. Jeżeli będziesz odżywiać się w ten sposób, bardzo szybko wyszczuplejesz i będziesz mogła bawić się z innymi dziećmi.

– To wspaniale – powiedziała Lukrecja. – Już nie mogę się doczekać, tylko co mama i tata na to? Czy oni mi pozwolą jeść w ten sposób?

– Rodzice z pewnością będą chcieli dla ciebie jak najlepiej, Lukrecjo – odezwał się za ich plecami przepiękny, melodyjny głos i wszyscy odwrócili się w jego stronę.

W drzwiach stała najpiękniejsza kobieta jaką kiedykolwiek widzieli. Ubrana była cała na białą, a jej postać świeciła jasnym światłem. W ręku trzymała różdżkę.

– Czy pani jest... Lukrową Wróżką? – zapytała Lukrecja.

– Tak, to ja we własnej osobie. Nie musisz martwić się o tym, co powiedzą twoi rodzice na temat zmiany diety. Rozmawiałam przed chwilą z nimi i opowiedziałam o tym, jak omal nie wylądowałaś w paszczy złego smoka... A to wszystko przez złe odżywianie się i nieodpowiednią kondycję... Przyznaję, to po części moja wina. Tworząc Lukrową Dolinę, niepotrzebnie polałam ją lukrem i zasadziłam w niej drzewa landrynkowe. Chciałam dobrze dla jej mieszkańców, ale nie sadziłam, że niektórzy z nich będą jedli tylko słodocze.

– To znaczy Lukrowa Wróżko, że także i ty jesteś za tym, aby nie przesadzać ze słodyczami i żywić się w zupełnie inny sposób? – zapytała zaskoczona dziewczynka.

– Ależ oczywiście, że tak. Mam nadzieję, że od tej chwili twoja dieta ulegnie radykalnej zmianie.

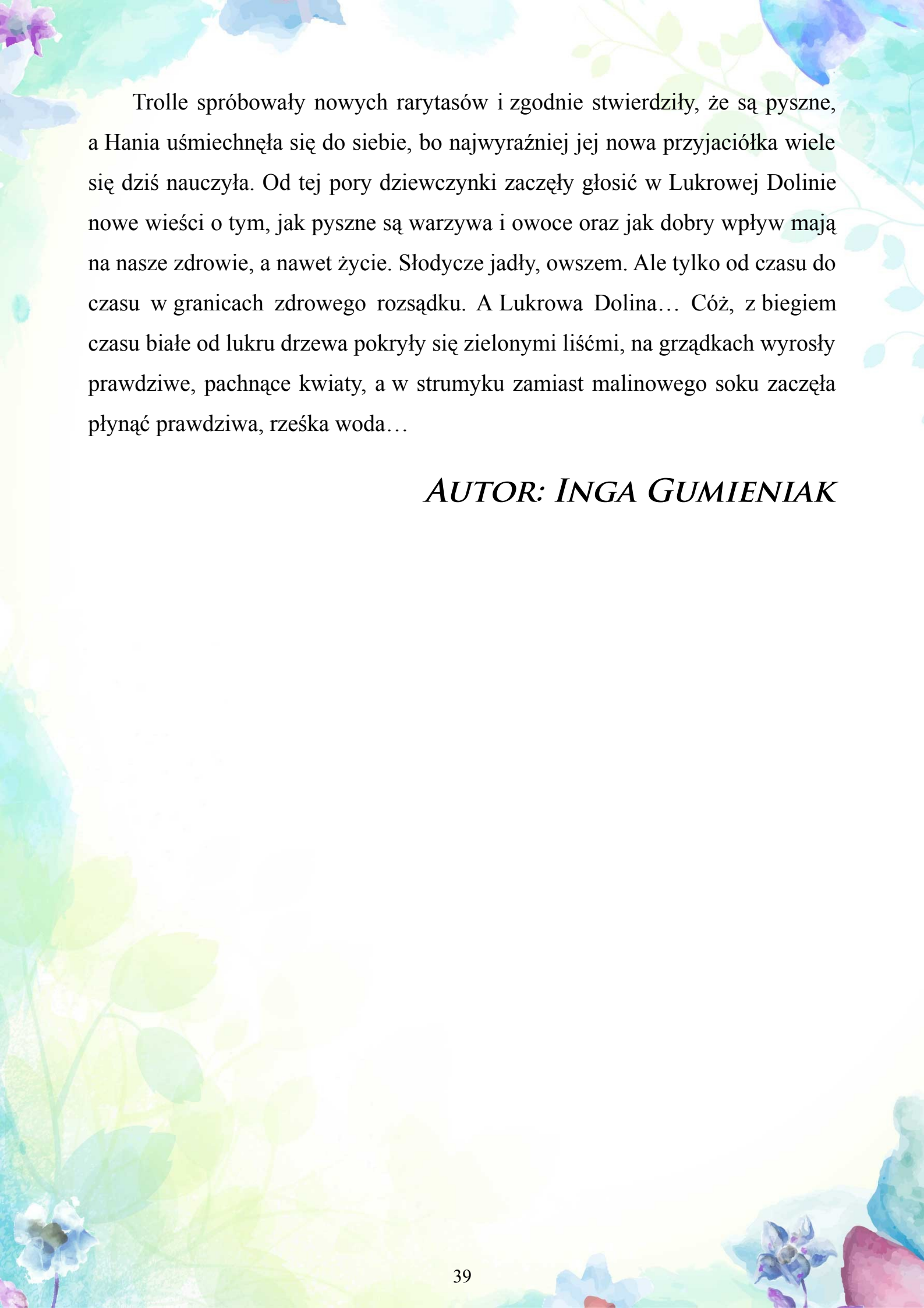
– Ma się rozumieć – powiedziała księżniczka. – Moje życie już się zmieniło, w końcu też otworzyłam się na innych i mam prawdziwą przyjaciółkę!

– Bardzo mnie to cieszy – odparła wróżka, po czym jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki zaczęła rozplýwać się w powietrzu. – Do widzenia kochani – zdążyła jeszcze powiedzieć i już jej nie było.

Dziewczynki po chwili oszołomienia postanowiły udać się do Lukrowej Doliny, aby odprowadzić Lukrecję do swojego domu. Po drodze napotkały na dwa wesołe trolle.

– Hej dziewczyny, macie może jakieś cukierki? Jeść nam się chce – zapytały przyjazne stworki.

– Cukierki? Phi! – odparła Lukrecja. – Jakbym was nie lubiła, to bym wam dała cukierki. Wyglądacie na sympatyczne stworzenia, więc... dam wam jabłko i banana!



Trolle spróbowwały nowych rarytasów i zgodnie stwierdziły, że są pyszne, a Hania uśmiechnęła się do siebie, bo najwyraźniej jej nowa przyjaciółka wiele się dziś nauczyła. Od tej pory dziewczynki zaczęły głosić w Lukrowej Dolinie nowe wieści o tym, jak pyszne są warzywa i owoce oraz jak dobry wpływ mają na nasze zdrowie, a nawet życie. Słodyczne jadły, owszem. Ale tylko od czasu do czasu w granicach zdrowego rozsądku. A Lukrowa Dolina... Cóż, z biegiem czasu białe od lukru drzewa pokryły się zielonymi liśćmi, na grządkach wyrosły prawdziwe, pachnące kwiaty, a w strumyku zamiast malinowego soku zaczęła płynąć prawdziwa, rześka woda...

AUTOR: INGA GUMIENIAK

„MAŁA SYRENKA ELIZA”

Dawno, dawno temu żyła sobie 9-letnia syrenka o imieniu Eliza, o bardzo miłym usposobieniu i dobrym sercu. Miała piękne, złociste, długie i kręcone włosy, a oczy niebieskie jak kryształy. Jej ogon był koloru czerwonego, pokryty srebrnymi, świecącym łuskami. Eliza była skromną, miłą syreną żyjącą w głębinach morskich. Przepiękna kraina, która ją otaczała zawierała wszystkie kolory jakie tylko istnieją, a dookoła pływały różne kolorowe rybki, koniki morskie, rozgwiazdy i barwne wodorosty. Mieszkało tam dużo syren, które wzajemnie sobie pomagały.

Eliza mieszkała w pięknej, dużej jaskini. Przechowywała tam dużo ładnych rzeczy, a jedna z nich była szczególnie dla niej ważna – to pozytywka od jej rodziców. Syrenka mieszkała z babcią Stefanią. Babcia mimo podeszłego wieku wyglądała dobrze. Miała grube siwe włosy, zawsze splecione w kok i nosiła okulary. Eliza kochała babcię, która od siedmiu lat zastępowała jej rodziców. Gdy Eliza miała dwa latka, jej kochani rodzice wypłynęli na nieznane i niebezpieczne wody w poszukiwaniu bardzo wartościowych pereł. Tego dnia mała syrenka widziała ich po raz ostatni. Nie przestawała jednak myśleć o mamie i tacie, często ukradkiem popłakując przy dźwiękach pozytywki, którą od nich dostała. Starła się robić to tak, aby babcia nie widziała jej smutku i łez. Przypominała sobie tatę – był wysokim i potężnym mężczyzną, miał bardzo gęste, czarne włosy. Mama Alicja miała piękne włosy oraz niebieskie oczy, a Eliza była do niej bardzo podobna.

Mimo utraty rodziców, Eliza była dzielną dziewczynką. Miała też wielu przyjaciół, a dwóch z nich było wyjątkowych. Pierwsza to Anna, syrenka w Elizy wieku. Bardzo się lubiły i ufały sobie. Anna miała długie, czarne, proste włosy sięgające do pasa, zielone oczy i złocisty ogon. Mieszkała dwa domy dalej od Elizy. Drugi przyjaciel to konik morski o imieniu Pysiu. Pysio

miał wygląd śmiesznego konika, wyróżniał się od innych. Oczy miał duże jak piłki, długie kręcone włosy, wąski ogon bardzo mocno zakręcony – jak u małego prosiaczka. Kiedy syrenki były smutne Pysio zawsze je rozbawiał, robił śmieszne i niesamowite miny.

Pewnego pięknego ranka przyjaciele popłynęli zbierać jak co dzień muszelki, z których robili przepiękną biżuterię, koraliki, naszyjniki i bransoletki. Gdy dopłynęli, zauważyli, że nie ma już ani jednej muszelki. Bardzo się zdziwili, a Eliza powiedziała do Anny:

- Zawsze tutaj były!
- Co się stało? – dodała zdziwionym głosem Anka.
- Nie wiem – odpowiedziała Eliza.

Zaś Pysio szukał muszelki jak zwariowany, lecz nie znalazł ani jednej.

– Może popłyniemy dalej, tam gdzie na pewno znajdują się muszle? – zapytała Eliza.

– Ale dorośli zakazali wypływać nam na nieznane wody, przecież tam zaginęli twoi rodzice!

- Nic nam się nie stanie, to było dawno.
- No dobra, to płynmy.

Pysio pokiwał głową, czując, że to jest zły pomysł, ale szybko podpłynął do dziewczyn. Płynęli i płynęli, a otoczenie było coraz bardziej ponure i szare. Widoczność stawała się coraz mniejsza. Nagle zatrzymali się przestraszeni. Coś w szybkim tempie podpłynęło do nich. Były to dwie duże, brzydkie płaszczyki z ogromnymi płetwami, długim ogonem Płaszczyki były bardzo przerażające. W oczach przyjaciół pojawił się niepokój i strach. Wtedy uświadomili sobie, że źle zrobili płynąc tam, gdzie nie powinni. Gdy płaszczyki przypląnęły do nich, Pysiovi ze strachu oczy zrobiły się jeszcze większe, wąsy całkowicie się wyprostowały, a jego ogon trząsł się jak galaretka. Nagle jedna z płaszczyk powiedziała do nich grubym głosem:

– Och, co my tu mamy?

– Zostawcie nas! – krzyknęli przyjaciele.

– Nie, nie moi drodzy, zabieramy was do naszej kryjówki, żeby cieszyć się z takich młodych i pięknych zdobyczy.

– Ale my wam nic złego nie zrobiliśmy. Zostawcie nas! – krzyknęła Eliza.

Płaszczki nie kryły zadowolenia:

– W końcu złapaliśmy młode i piękne syreny, nasz plan z tymi muszlami powiódł się idealnie.

– Tak, tak, królowa będzie z nas dumna!

Nagle syreny były już złapane w sieć, którą zauważyły wstrętne płaszczy. Anna i Eliza jeszcze się szamotały, lecz bez skutku; krzyczały, lecz nikt ich nie usłyszał. Gdy były tak ściśnięte w sieci ciągniętej przez płaszczy uświadomiły sobie, że nie ma z nimi Pysia.

– Gdzie Pysio? – zapytała Anna.

– Nie wiem, myślałam, że jest z nami!

– Ale jego tu nie ma.

– To dobrze, może sprowadzi pomoc – podsumowała Eliza.

I tak oto przyjaciółki zostały wrzucone do lochów królowej Herry. Gdy obie siedziały w brzydkich i zimnych lochach zastanawiając się co z nimi będzie i co Herra od nich chce, Eliza powiedziała do Anny:

– Anno, to że nie było muszelek tam gdzie zawsze zbierałyśmy, to sprawka tych wstrętnych płaszczy.

– Tak Elizo, one zebrały wszystkie muszle specjalnie, abyśmy się oddaliły i mogły nas złapać.

– To była pułapka!

– I niestety dałyśmy się złapać – skwitowała smutnym głosem.

Nagle syrenki usłyszały kroki. Była to Herra. Przed oczami Elizy i Anny pojawiła się okropna postać. Głowę miała wielką, włosy rzadkie, twarz zmarszczoną, nos ogromny jak u Pinokia z dużą obrzydliwą kurczawką na czubku. Zamiast nóg miała kilkanaście macek, wyglądała przerażająco.

Herra powiedziała:

– Witajcie moje drogie, jestem Herra, królowa niebezpiecznych, mrocznych i odległych wód.

– Zawsze myślałam, że wszystkie królowe są piękne – szepnęła Eliza.

– Ta chyba jest jedyna o takiej urodzie – powiedziała z niesmakiem Anna.

– Dlaczego nas tu więzisz?? Przecież nie zrobiłyśmy nic złego! – krzyknęła Eliza.

– Och moje drogie, ale macie to, czego bardzo potrzebuję. Od dwóch lat czekam i czekam i w końcu się doczekałam i wy mi to dacie – powiedziała podekscytowana Herra.

– Ale co takiego? – zapytały coraz bardziej przestraszone syrenki.

– Młodość i piękność!! Mój czar już prysł. Jeszcze niedawno byłam taka piękna. Dzięki wam znów będę za dwa dni taka piękna jak dawniej. Już nie mogę się doczekać pełni księżyca.

Dopiero po tych słowach Herry, syreny zrozumiały, że to zła czarownica, która dzięki czarom może zmienić się w piękną królową. Oznaczało to, że syreny już nie będą młode i piękne, ponieważ królowa zmieni ich w coś okropnego. Herra powiedziała:

– No moje piękne i młode, spotkamy się za dwa dni przy pełni księżyca. Cieszę się, bo są to wasze ostatnie dni, gdy jesteście takie młode i śliczne. Kiedy odchodziła śmiała się bardzo głośno.

– Musimy coś zrobić! – krzyknęła spanikowana Eliza.

– Ale co? Tych krat nie da się wyważyć...

Po chwili syreny usłyszały jakieś dziwne głosy. Uświadomiły sobie, że nie są tu jedynymi więźniami, jest tu ich więcej. Nie widzieli się, bo pomiędzy nimi był odrapany, gruby, ponury mur.

– Kto tam jest? – spytała zaciekawiona Eliza.

– Jesteśmy więźniami Herry, więzi nas tu od siedmiu lat.

– Siedem lat.... po co ona was tu więzi? – dopytywała Eliza.

– Zabrała nam młodość i urodę, dzięki temu okropna Herra przemieniła się w piękną i młodą Herre.

– W co was zamieniła? – do rozmowy dołączyła Anna.

– My zostaliśmy zamienieni w starych i niedołężnych ludzi.

– To samo chce zrobić z nami za dwa dni przy pełni księżyca – powiedziała z rezygnacją Eliza.

– Tak moje kochane, zamieni was w to co nas – w starców!

Nastała cisza. Anna i Eliza zaczęły płakać. Więźniowie powiedzieli do syren:

– Nie płaczcie, przyzwyczaić się. My mieszkamy w tych lochach już siedem lat.

– Zamieszkujecie tu? Ilu was jest? – zainteresowała się Eliza.

– Ja i mój mąż. Ja mam na imię Ala, a mój mąż to Emil. – Witam was dziewczyny – powiedział zachrypniętym głosem Emil.

Na Elizy twarzy zrobiła się zdziwiona mina:

– Ale tak mieli na imię moi rodzice, którzy siedem lat temu wypłynęli na głębokie i dalekie wody w poszukiwaniu bursztynów i już nigdy nie wrócili! Została mi tylko babcia Stefania i szkatułka.

Zapadła cisza.

– Masz na imię Eliza prawda? – zapytała ze wzruszeniem Ala.

– Tak, Eliza...

- Moja kochana córeczko Elizo!
 - Mamo, tato! – krzyknęła syrenka.
 - Tak, to my, twoi rodzice.
 - Już myślałam, że nigdy was nie odnajdę! Szkoda, że nie mogę was zobaczyć, dotknąć, przytulić – Eliza nie mogła uwierzyć w to, co usłyszała.
 - Elizo, odnalazłaś swoich rodziców, oni żyją! – Anna nie mogła ukryć wzruszenia.
 - Tak, odnalazłam i teraz będziemy blisko siebie, ale uwięzieni... – skwitowała Eliza.
 - Ta Herra zabrała ich młodość i to samo chce zrobić z nami.
- Aż tu nagle koło krat pojawiły się małe bąbelki. Syreny spojrzały ze zdziwieniem, a tu Pysio wypłynął pomiędzy kratami, cichutko jak myszka.
- Pysio! Wiedziałam, że nas nie zostawisz! – krzyknęła Eliza.
 - Nawet nie wiesz jak za tobą tęskniłyśmy, ale co teraz zrobimy? – dodała Anna.
 - Cały czas płynąłem za wami, tak aby strażnicy Herry mnie nie zobaczyli, a tu czekałem aż te obrzydliwe płaszczyki w końcu zasną i się udało!
- powiedział uradowany Pysio.
- Jak one śpią to jedyne wyjście, aby zabrać im klucze i uciec stąd – kombinowała Eliza.
 - Oj tak mi się tu nie podoba, chcę wrócić jak najszybciej do domu. Do kochanych rodziców – zapłakała Eliza.
 - Pysio, wiem jesteś bardzo dzielny, musisz coś dla nas zrobić! – syrenki spojrzały na konika.
 - Ale co?
 - Wykraść klucze tej obrzydliwej straży. Musisz zrobić to bardzo cichutko, aby się nie obudziły, inaczej zła królowa Herra, która nas tu więzi

zabierze nam młodość, piękno i zostaniemy starcami jak moi rodzice!

Pysio nagle zrobił ogromne oczy i powiedział:

– Rodzice?

– Tak, mój przyjacielu. Herra więzi ich tu od siedmiu lat. Zabrała im młodość, a oni pozostali starcami – wytłumaczyła Eliza.

– Bardzo się cieszę, że odnalazłaś rodziców, ale porozmawiamy na wolności, bo teraz musimy działać. Mam dość tego miejsca!

Pysio bardzo się bał, lecz wiedział, że jeśli tego nie zrobi, jego przyjaciółki spędzą tu resztę życia. Po cichutku popłynął w stronę śpiących strażników i ostrożnie wykradł klucze. Ogon trząśł mu się bardzo mocno, gdy podpłynął do wrót. Eliza jak najszybciej złapała klucze i otworzyła wrota celi. Anna i Pysio tak bardzo się bali, że nie oglądając się za siebie ruszyli naprzód, pozostawiając za sobą tylko kotłujące się bąbelki. Eliza zaś nie mogła pozostawić swoich rodziców. Nie wybaczyłaby sobie, gdyby nie pomogła rodzicom uciec, mimo że ryzykowała, że wstrętne płaszczyki się obudzą. Nie wahała się, by uwolnić rodziców. Ze łzami w oczach uściskała ich tak mocno ile miała sił, chociaż nie wyglądali tak jak przed siedmiu lat. Gdy już wypłynęli z królestwa Herry i odpłynęli dość daleko by być bezpieczni, spotkali się z Anną i Pysiem. Gdy wszyscy byli już razem, zastanawiali się gdzie mają płynąć.

– Nie jestem pewien, ale płynmy w tą stronę. Trochę przypomina mi się ta droga do domu choć było to dawno, siedem lat temu...– Emil zamyślił się.

Gdy tak płynęli nagle przed ich oczami ukazało się znajome otoczenie i kolory, wtedy każdy z nich wiedział już, że są blisko domu. Rodzice Elizy gdy zobaczyli swój dom stanęli, bo jeszcze nie mogli uwierzyć w to, że są już w domu. Eliza zaś przytuliła ich i powiedziała:

– Płynmy, babcia czeka.

Anna z Pysiem od razu popłynęli do swojego domu, by opowiedzieć rodzicom co się im przydarzyło.

Eliza z rodzicami weszli do domu, a babcia Stefania od razu poznała swoją córkę i Emila, po czym przytuliła ich wszystkich. Serce zawsze rozpozna swe dziecko,

Przy długiej rozmowie babcia poznała opowieść o złej królowej. Eliza bardzo cieszyła się, że odzyskała swoich rodziców, mimo że nie wyglądają tak jak dawniej, ale serca mieli takie same. Wszystko wróciło do normy, tak jak było dawniej spędzali ze sobą czas. Jednak po dwóch dniach rano stało się coś magicznego. Eliza wchodząc do pokoju rodziców odkryła niesamowitą przemianę. Rodzice jeszcze spali. Eliza zaś krzyknęła i się obudzili.

– Mamo, tato! Jesteście tacy jak dawniej.

– Ale córeczko nie rozumiemy.

– Jesteście młodzi i piękni, tak jak dawniej – powiedziała Eliza wskakując do ich łóżka.

Gdy rodzice zobaczyli się w lustrze, ze zdziwieniem i szczęściem na twarzy zdali sobie sprawę, że czar Herry prysł. Minęły dwa dni, a oni nie byli już więźniami.

– Jak dobrze, że wszystko jest tak jak dawniej. Kocham was – powiedziała i ukochała rodziców. Oni też byli bardzo szczęśliwi, lecz poprosili córkę aby obiecała, że nigdy bez pozwolenia nie oddali się od domu, bo może być to bardzo niebezpieczne.

I tak już pozostało, każdy był szczęśliwy. Pysio i Anna również uczestniczyli w życiu Elizy. Zawsze bawili się razem, lecz już nie wypływali na głębokie i niebezpieczne wody, bo wiedzieli, że tam czyha na nich jeszcze brzydsza królowa Herra.

AUTOR: WIKTORIA KRZOS

„RENIFER GIGO”

Dawno, dawno temu, a może nie aż tak dawno, ale zdecydowanie daleko stąd żył sobie pewien renifer Gigo, bo tak miał na imię, był bardzo miły i przyjacielski. Zawsze pomagał innym, dzięki czemu wszyscy go lubili. Jego najlepszym przyjacielem był zajączek. Nazywał się Pstre Uszko. Renifer od dziecka marzył o lataniu w zastępach Świętego Mikołaja. Od kiedy to mama opowiadała mu o uśmiechniętym, starszym panu, który rozdaje prezenty, dołączenie do niego stało się jego największym pragnieniem.

Pewnego dnia, gdy jak co rano szedł przez polanę do zajączka, zauważył, że jego przyjaciel przed kimś ucieka. Bardzo go to zdziwiło, a zarazem zmartwiło.

– Co się stało? – zapytał zaniepokojony. – Dlaczego uciekasz?

– Goni mnie lis! – wykrzyknął przerażony zajączek. – Bardzo się boję. Proszę, pomóż mi!

– Oczywiście. Schowajmy się u mnie w domu. Tam nas nie znajdzie. Będziesz bezpieczny – odrzekł renifer.

Po tych słowach natychmiast ruszyli w kierunku domku Gigo. Biegli bardzo szybko, więc w mgnieniu oka znaleźli się na miejscu. Minęło sporo czasu, zanim się uspokoili. Kiedy zajączek mógł wreszcie mówić, opowiedział reniferowi, co się stało. Pstre Uszko podziękował swojemu wybawcy i powiedział, że za to, co zrobił, będzie mu wdzięczny do końca życia.

Minęło kilka dni. Gigo, jak co dzień, szedł w odwiedziny do swojego przyjaciela. Gdy przechodził obok, na pozór zwyczajnej nory, usłyszał dobiegające z niej dziwne skomlenie. Bardzo go to zaintrygowało. Chociaż trochę się bał, postanowił tam zajrzeć. Nie wiedział, że nora należy do tego samego lisa, przed którym niedawno obronił zajączka. Nachylił się i ku jego zdziwieniu, zobaczył rudy pysk. Ale teraz zwierzę nie budziło w nim strachu,

wręcz przeciwnie, lis był wychudzony i słaby. Patrzył na Gigo swoimi zdziwionymi, ale smutnymi oczami. W końcu zapytał niepewnym, cichym głosem:

– Kim jesteś i co tutaj robisz?

– Jestem Gigo. Przechodziłem obok i usłyszałem dziwne odgłosy – odrzekł renifer.

– Nie bałeś się zaglądać do nieznanej nory? – zdziwił się rudzielec.

– Bałem się, ale chciałem sprawdzić, kto wydaje takie dźwięki – spokojnie wyjaśnił Gigo.

– To moje dzieci. Są głodne. Od kilku dni nic nie jedliśmy – powiedział smutnym głosem, wskazując jednocześnie miejsce, gdzie leżały otulone liśćmi małe liski. Teraz, gdy już to wiesz, możesz już iść.

– Nie mogę was tak zostawić. Muszę wam pomóc!

– Nic nie musisz – odrzekł przygnębiony lis.

– Wiem, ale chcę to zrobić! Beze mnie nie dacie sobie rady! – wykrzyknął.

– Przecież pomaganie nie boli, nie jest trudne, a wręcz przeciwnie, jest przyjemne – dodał.

– Mówisz poważnie? – zapytał zdziwiony lis. – Nigdy dotąd nie spotkałem kogoś, kto myślałby tak jak ty. A poza tym, nie boisz się, że cię oszukam lub okradnę? Wszyscy mówią, że lisy są podstępne.

– To że tak mówią, nie musi oznaczać, że zawsze tak jest. Powinieneś pokazać innym, że nie jesteś taki jak wszystkie lisy.

– Ale jak mam to zrobić?

– Zacznij od przeproszenia zajączka. Bardzo się przestraszył, gdy go goniłeś.

Lis przez chwilę się zamyślił.

– Masz rację – odrzekł – zrobię to jak najszybciej.

– To świetnie, a teraz zapraszam was do mnie. Mam dużo zapasów. Chętnie podzielę się nimi z wami.

Gdy Gigo wypowiadał te słowa, lis się rozplakał. Nie sądził, że ktoś, kto nawet go nie zna, może chcieć mu pomóc. A jednak pomylił się. Zrozumiał, że istnieją tacy, którzy chcą i potrafią pomagać innym, nawet jeśli sami nic z tego nie mają.

– Dziękuję – powiedział, ocierając łzy – bardzo ci dziękuję.

Renifer zabrał nowych przyjaciół do siebie i serdecznie ich ugościł. Wy tłumaczył lisowi, że ten zawsze może na niego liczyć i że w każdej sytuacji mu pomoże. Ponadto zaprosił go z dziećmi na Wigilię, którą co roku organizował dla siebie i swoich przyjaciół.

Po pewnym czasie, gdy zbliżały się święta Bożego Narodzenia, lis postanowił odwdzińczyć się reniferowi, za to co dla niego zrobił. W tym celu napisał list do Świętego Mikołaja. Nie była to jednak zwyczajna kartka z listą prezentów, o jakie co roku proszą dzieci. Lis wiedział, co jest największym marzeniem Gigo i o to właśnie poprosił. Opisał, jak miłym i serdecznym przyjacielem jest renifer. Chciał w ten sposób pomóc mu w spełnieniu marzenia. Był mu to winien za jego dobre serce.

Kilka dni później przyjaciele usiedli przy wigilijnym stole. Podzielili się opłatkiem, złożyli sobie życzenia i już mieli zacząć jeść, gdy spostrzegli uśmiechniętego, starszego pana z brodą, który siedział w wielkich, pięknych saniach. Wiedzieli, że to Święty Mikołaj.

– Ho! Ho! Ho! Słyszałem, że tu mieszka pewien miły, dzielny renifer – powiedział swym tubalnym głosem – mam dla niego niespodziankę!

– Gigo! To do ciebie! – wykrzyknął radośnie lis.

– A więc to ty? – zapytał, uśmiechając się Mikołaj.

– Tak, to ja – odpowiedział renifer, nie mogąc ukryć wzruszenia.

– Podobno chciałbyś latać w zaprzęgu moich sań i rozdawać ze mną prezenty. Mam dla ciebie dobrą wiadomość. Jeśli chcesz, to możesz dołączyć do mnie i do moich reniferów. Chętnie przyjmę kogoś tak dobrego i pomocnego jak ty.

Gigo był tak szczęśliwy, że nie wiedział, co powiedzieć. Nie mógł uwierzyć w to, co usłyszał. Po chwili wydusił z siebie:

– To moje największe marzenie!

Od tamtej pory renifer Gigo wraz ze Świętym Mikołajem rozdaje prezenty. Nie zapomina też o przyjaciółach, których często odwiedza. Uczy innych, że bycie miłym, życzliwym i pomocnym nie jest trudne, a nawet może sprawiać radość. Twierdzi również, że dobro, które okazemy innym, kiedyś do nas wróci.

AUTOR: NATALIA GRĘBSKA

„O WIELKIEJ KŁÓTNI ŚNIEGU I MROZU”

Daleko, daleko za horyzontem, tam gdzie gwiazdy nigdy nie gasną, a słońce nigdy nie opuszcza swojego ulubionego kawałka nieba stał pałac wielkiej królowej – Pani Zimy.

Pałac był przepiękny, cały ze srebrzystego śniegu i lodu, że skrzył się i migotał w blasku gwiazd jak wielki diament. Zima wbrew temu, co się mówi o jej lodowatym sercu i trudnym charakterze – była bardzo skromna. W srebrzystym zamku zajmowała jedynie skromny pokój na wieży, gdzie za kominku zawsze płonął ogień, a sople lodowe u wezglowia łóżka wydzwaniały Zimie cichutkie kołysanki.

W pałacu rządzą synowie Zimy, a każdy z nich zajmował jedną jego połowę. W północnej części mieszkał starszy brat, Mróz, w południowej – młodszy, Śnieg. Jeśli dzielicie pokój z bratem albo siostrą, wiecie dobrze, że każdy zawsze chce urządzić swoją połowę, tak jak najbardziej lubi. Tak też nasi bracia – Mróz i Śnieg – zupełnie inaczej urządzili swoje części pałacu. Bo też trudno byłoby znaleźć dwóch tak niepodobnych do siebie braci.

Śnieg był pięknym młodzieńcem, o oczach jasnych jak niebo w zimowy pogodny dzień i włosach, jak śnieżna zawieja, w których słońce lubiło igrać tęczowymi iskierkami. Na pewno widzieliście wiele razy, jak słońce mieni się w śniegu wszystkimi kolorami. Nasz bohater nosił na głowie diadem z takiej właśnie zimowej tęczy. W komnatach Śniegu było zawsze dużo gości, śmiechu, gwaru i zabawy. Wszyscy lubili Śnieg za radość, którą miał w sercu. I za to, że całe dnie mogli bawić się śnieżkami i zjeżdżać na nartach po pagórkach, które Śnieg specjalnie kazał usypać w swoim ogrodzie. Kochały Śnieg dzieci z Krainy Za Horyzontem, które przychodziły do niego na sanki. I wszystkie zwierzęta i rośliny, które w ogrodzie zapadały w swój zimowy sen, pod białą mięciutką kołderką!

W drugiej części pałacu – u Mroza nie było śmiechu, ani zabaw, ani żadnych gości. Panowała tu cisza, niczym w skutych lodem górach, gdzie zimą nikt nie odważy się wspinać. Tę ciszę przerywały tylko kroki Mroza, który każdego ranka, z głową wysoko uniesioną nad futrzanym kołnierzem, wędrował od komnaty do komnaty. Inaczej niż Śnieg, który cieszył się z każdej rzeczy, Mróz miał w swoim życiu tylko jedną radość. Kochał malować kwiaty.

Pewnie nieraz wiedzieliście zimą niezwykle lodowe kwiaty na Waszych oknach. Rozkwitają tysiącami płatków, w zupełnie różnych kształtach. Niektórzy mówią, zresztą, że to nie są kwiaty tylko gwiazdy, a każda, tak jak to z prawdziwymi gwiazdami, jest inna od pozostałych.

Wiecie z pewnością, że aby zrobić coś wielkiego i ważnego potrzeba ciszy i spokoju. I wszystko to miał Mróz w swojej samotnej, cichej północnej części pałacu, gdzie nawet zimowy wiatr nie ośmielił się zagwizdać. Mróz siedział zupełnie sam, pokrywając okna i ściany niezwykłymi kwiatami-gwiazdami, zapominając o całym świecie.

Bracia spotykali się właściwie tylko raz w roku. W pierwszym dniu zimy zasiadali w zaczarowanych Białych Saniach i wyruszali w orszaku Pani Zimy aby objąć panowanie nad światem..

Pomyślał kiedyś Mróz:

– Czemu znów muszę wsiadać do Białych Sań z tym nieznośnym Śniegiem. Nigdy nie odwiedził mnie w Północnym Pałacu i nie docenił moich niezwykłych kwiatów. W jego ogrodzie jest zawsze hałas i te śmiechy i krzyki, które przeszkadzają mi w pracy. Nie pojadę w tym roku w Białych Saniach! I tak ludzie cieszą się tylko na JEGO widok, a na mnie posykują: „ach znów ten przekłety Mróz”. Jak długo można to wytrzymać?

W tym samym czasie Śnieg zamyślił się:

– Dlaczego mam się pokazywać w Białych Saniach obok tego ponurego Mrozu? Ludzie go nie lubią i boją się jego mroźnego spojrzenia. Zresztą jak on

wygląda w tym okropnym, starym futrze? Psuje mi wizerunek! Nie ma mowy, żebym się z nim pokazał na Ziemi!

I tak mijały dni, a żaden z braci nie chciał zasiać w Białym Saniach, które prowadziły orszak Zimy. Dzieci na Ziemi czekały, przyciskając noski do okien na pierwszy śnieg i pierwsze lodowe kwiaty na szybach. Ale Zima nie nadchodziła. Najbardziej cierpiała na tym jej starsza siostra – Jesień. Była już zmęczona i chętnie oddałaby panowanie na Ziemi. Marzyła, by zebrać swoich synów – Deszcz, Wiatr, Chłód oraz córkę – Barwę Liści, by odlecieć razem z nimi do Krainy Za Horyzontem. Oczywiście, w swoim ukochanym rydwanie, utkany z parasoli. Napisała zatem list do Zimy. Na złocistym liściu, najładniejszym, jaki znalazła w swoim kufrze, wyznała swój niepokój.

Kiedy Zima dowiedziała się o wielkiej kłótni Śniegu i Mrozu, wezwała do siebie obu synów i bez żadnego tłumaczenia zaprosiła ich do swoich królewskich sań. Nie, Zima nie zamierzała siłą wywozić swoich niesfornych synów na Ziemię. Pojechali o wiele dalej, tak daleko, że nawet Kraina Za Horyzontem wydała by się Wam bliska w porównaniu z tym miejscem. A był nim Biegun Północny, królestwo świętego Mikołaja.

W domu Mikołaja na początku zimy panuje ogromny ruch. Tysiące skrzatów uwijają się w pośpiechu, by zdążyć przed świętami ze wszystkimi swoimi obowiązkami. Skrzaty czytają miliony listów od dzieci z całego świata, po czym przynoszą do warsztatu długie listy zamówień. Inne obsługują linię do produkcji zabawek – wycinają drewniane koniki, kleją samochody i rakiety, malują buzie najpiękniejszych lalek i szyją dla nich sukienki.

Jeszcze inne mieszają coś w największym, jaki możecie sobie wyobrazić kotle. Z tego kotła płynie, dzięki niezwykłej mocy Mikołaja niezwykły smak Świątecznej Czekolady. Wiecie na pewno, że żadna czekolada nie smakuje tak wspaniale jak ta wyjęta z pod choinki. To właśnie z magicznego kotła Mikołaja wypływa ten Smak, który trafia do wszystkich świątecznych czekolad na

świecie. Bez względu na to, w jakim sklepie kupiło się świąteczną czekoladę każda tabliczka pochodzi prosto od Mikołaja.

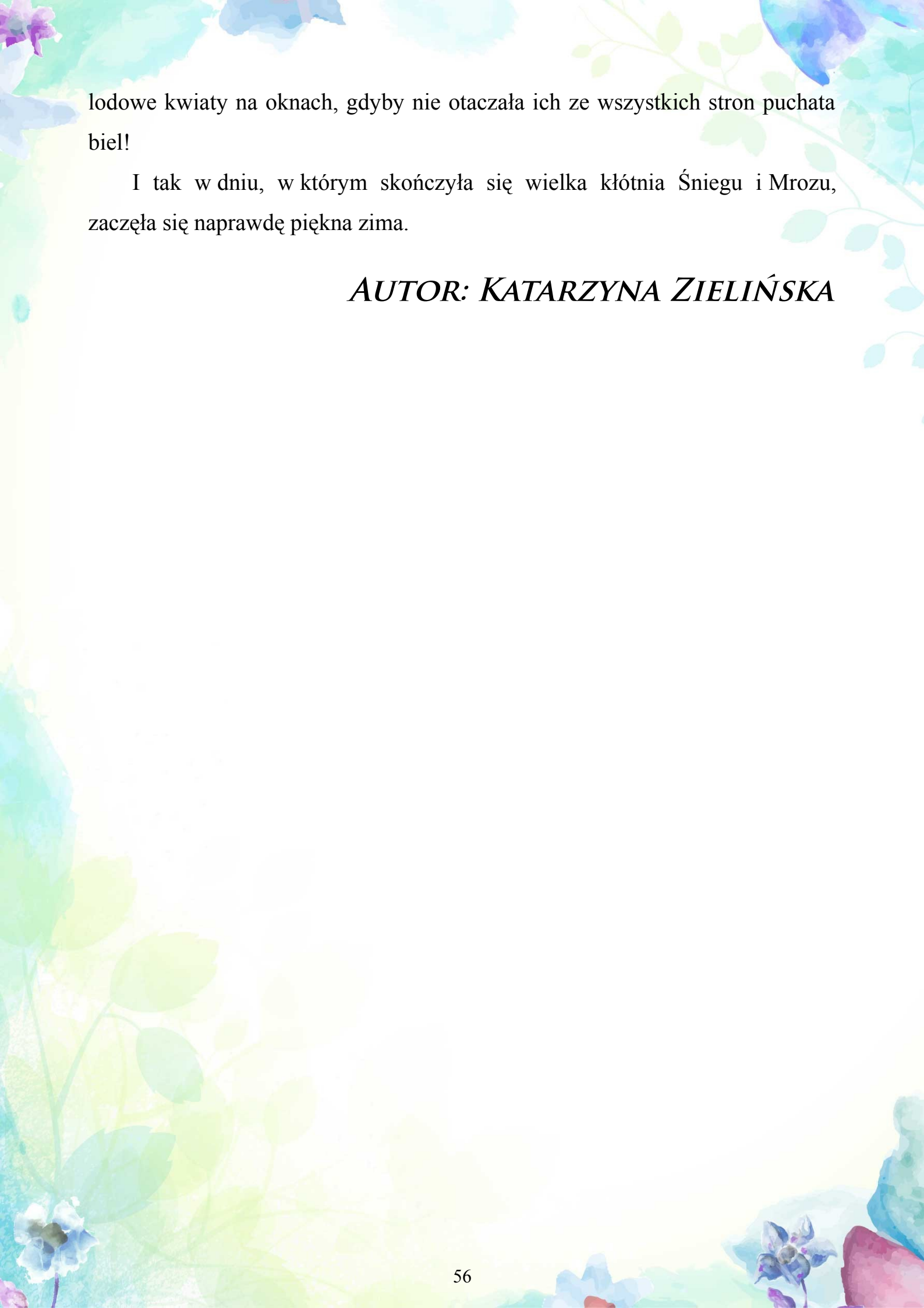
Śnieg i Mróz zobaczyli jeszcze inne warsztaty, gdzie małe skrzaty karmią renifery, niektóre szczotkują ich futro, inne polerują, malują i zdobią sanie Mikołaja. Pracują w pocie czoła, bo na Gwiazdkę wszystko musi być doskonałe.

– Popatrzcie – Zima zwróciła się do swoich synów – jakie niezwykle umiejętności mają te niepozorne skrzaty. I choć każdy jest takim małym, śmiesznie ubranym karzełkiem, prawie każdy ma jakiś wielki talent. Są tu rzeźbiarze, którzy jednym ruchem dłuta wycinają najpiękniejsze zabawki. Są skrzaty–krawcy, które szyją lalkom sukienki według najnowszej mody. Jeszcze inni potrafią tak nastroić dzwoneczki do sań, by było je słychać w każdym zakątku świata. A kucharze, którzy wykrawają najrówniejsze świąteczne pierniczki? A są tu i tacy mądrze, którzy na pamięć znają wszystkie listy od dzieci i nie pomylą się nawet przy najmniejszej paczuszce. Czy oni przejmują się swoim wyglądem? Albo śmiesznymi mundurkami z gałganków, które noszą? Pewnie, że i kłócą się ze sobą, jak to w wielkiej rodzinie, ale nikt się na siebie nie obraża. Przecież wszyscy są ważni, bo tak potrzebni!

Śnieg i Mróz milczeli. I choć przez całą podróż na Biegun Północny unikali swojego wzroku teraz na krótko popatrzyli na siebie. A w oczach każdego na chwilę zabłyśły krople, tak gorące, że nigdy nie zmieniłyby się w grudki lodu.

Zasiedli wspólnie do sań, ale nie były to już sanie królowej Zimy. Ich własne, magiczne Białe Sanie, zaprzężone w podmuchy zimowego wiatru, z szumem zjechały za Ziemię. Nie powiem Wam, o czym pomyśleli wtedy bracia. Bo Wy już sami o tym chyba wiecie, prawda?

Bo czym byłyby nasze zimowe zabawy na śniegu, gdyby nie odrobinka mrozu, która nie pozwala zamienić mu się w błoto? A jak smutno wyglądałyby

The page is decorated with watercolor-style floral illustrations. In the top-left corner, there are purple and blue flowers. The top-right corner features green leaves and blue flowers. The bottom-left corner has green leaves and a blue flower. The bottom-right corner shows a blue flower and a pinkish-red flower. The background is a light, warm yellow.

lodowe kwiaty na oknach, gdyby nie otaczała ich ze wszystkich stron puchata biel!

I tak w dniu, w którym skończyła się wielka kłótnia Śniegu i Mrozu, zaczęła się naprawdę piękna zima.

AUTOR: KATARZYNA ZIELIŃSKA

„JAK DZIELNA LIDIA ODCZAROWAŁA CUKIERECZKA”

Dawno, dawno temu, w dalekim kraju zwanym Fantazją żyła sobie mała dziewczynka o imieniu Lidia. Miała 7 lat, była zawsze uśmiechnięta i miała bardzo dobre serduszko. Mieszkała z rodzicami w małym domku na skraju pięknego parku. Lidia bardzo lubiła słodczy, dlatego też swojego małego ptaszka nazwała Cukiereczkiem. Był to bardzo mądry, gadający ptaszek i Lidia lubiła rozmawiać z nim o wielu ważnych sprawach.

Pewnego razu Lidia wybrała się na spacer do pobliskiego parku. W żywopłocie zobaczyła małą, lekko uchyloną furtkę i zaciekawiona weszła do środka. Ujrzała kolorową krainę, w której lizaki zastępowały drzewa, chmury były z cukrowej waty, góry z cukru, a ich szczyty z mocno zmrożonych lodów. Szła, rozglądając się uważnie, aż spotkała maleńką świnkę. Nie była to zwyczajna świnka, ponieważ cała była z ...czekolady. Lidia zapytała, gdzie się znajduje, a świnka odpowiedziała:

– To jest Cukrowa Kraina – miejsce piękne, w którym żyłoby się spokojnie gdyby nie wiedźma Lola.

Lidia bardzo chciała poznać historię wiedźmy Loli i Cukrowej Krainy, ale była już tak zmęczona, że położyła się pod jednym z lizakowych drzew i usnęła. Gdy się obudziła, zobaczyła, że jest już w domu. Po chwili usłyszała szloch Cukiereczka. Spojrzała w stronę, z której dochodził płacz i zobaczyła, że Cukiereczek stał się... olbrzymi. Okazało się, że podczas nieobecności Lidii zła wiedźma Lola rzuciła na ptaszka zaklęcie.

Lidia bardzo kochała Cukiereczka i nie mogła patrzeć jak płacze. Postanowiła zrobić wszystko, żeby ptaszek odzyskał swoją dawną postać. Pomyślała, że pomóc jej może Czekoladowa Świnka z Cukrowej Krainy.

Wsiadła więc na swojego przyjaciela i poleciała razem z nim do parku. Przez zarośniętą furtkę weszli do środka i znaleźli świnkę, której opowiedzieli, co się stało. Świnka wysłuchała opowieści i na pytanie, czy jest sposób na odczarowanie Cukiereczka, odpowiedziała:

– Jest jeden sposób. Trzeba przyrządzić eliksir. Nie jest to jednak proste, bo potrzebne są trzy składniki: lód ze szczytu najwyższej góry, strzeżonej przez goblina, złote jabłko z lasu ogrów i kropelka soku, znajdującego się w pierścieniu wiedźmy Loli. Zdobycie tych składników jest niebezpiecznym zadaniem, ale innego sposobu nie ma.

Cukierczek nie chciał narażać swojej przyjaciółki, ale Lidia wiedziała, że jeśli nie uda się zdjąć zaklęcia, to ptaszek będzie nieszczęśliwy do końca życia. Postanowiła więc wybrać się w niebezpieczną podróż. Czekoladowa Świnka podarowała Lidii magiczne buty, dzięki którym można się było przemieszczać znacznie szybciej. Lidia podziękowała i ruszyła z Cukierczkiem w drogę.

Po jakimś czasie spotkali gąsienicę Żelinę, opowiedzieli jej swoją historię i poprosili o wskazanie drogi do najwyższej góry. Okazało się, że prowadzi do niej droga biała.

– A czy wiesz, którą drogą możemy dotrzeć do lasu ogrów? – spytała Lidia.

– Niestety nie, ale znam kogoś, kto chętnie wam pomoże. Zaprowadzę was do Ciasteczkowego Jeżyka, który mieszka niedaleko i zna wszystkie tajemnice.

Jeżyk bardzo przejął się nieszczęściem Cukiereczka i chętnie pomógł podróżnikom.

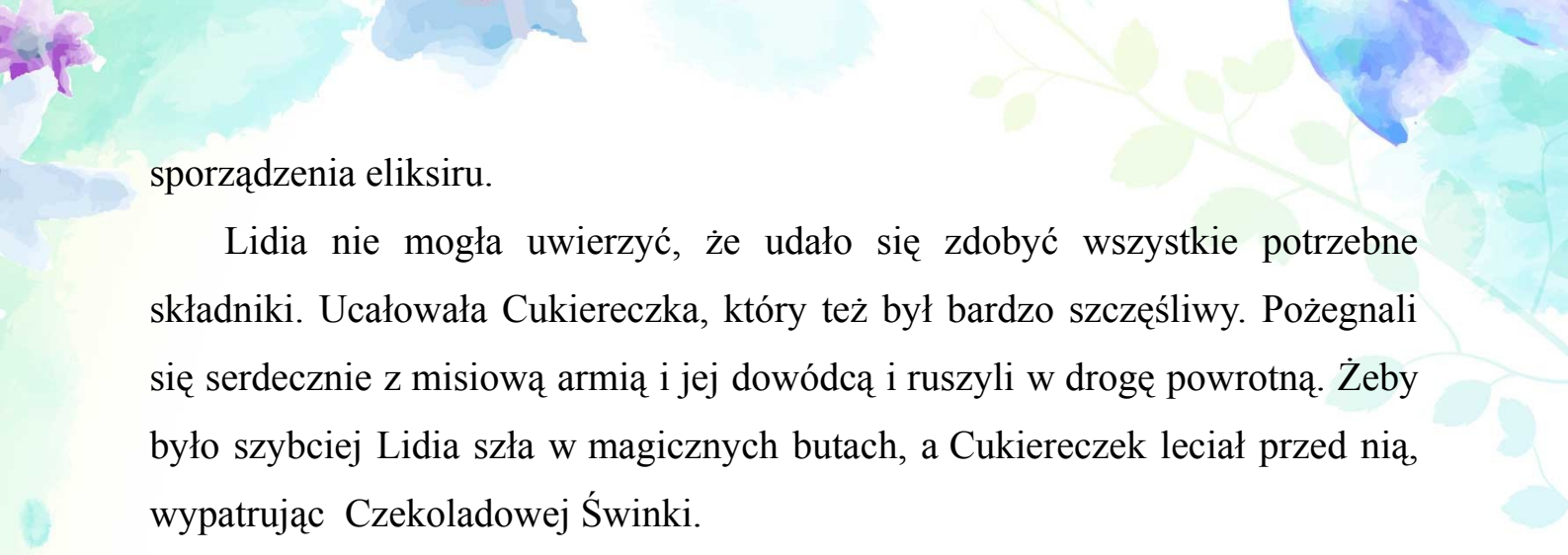
W końcu przyjaciele dotarli do najwyższej góry. Goblin – strażnik siedział na kamieniu i grał w gry komputerowe. Lidia i Cukierczek schowali się za górą i czekali. Goblin grał, grał, grał, aż w końcu zmęczony zasnął. Wtedy Cukierczek poleciał na szczyt góry i skruszył dziobem kawałek lodu, który

wpadł wprost w ręce Lidii. Pierwszy składnik został zdobyty. Czekwały ich jeszcze dwa trudne zadania.

Ruszyli dalej żółtą drogą, wskazaną przez Jeżyka. Dzięki sympatycznemu zwierzakowi wiedzieli też, jak odstraszyć ogry i zdobyć jabłko z ich lasu. Okazało się, że stworki te nie lubią wody – wystarczy je delikatnie pokropić, żeby uciekały piszcząc i podskakując. Trzeba to jednak zrobić z zaskoczenia. Lidia obmyśliła plan – po dotarciu na miejsce Cukiereczek przeleciał nad głowami ogrów i odwrócił na chwilę ich uwagę. Dziewczynka wybiegła z krzaków i pochlapała stworki wodą – faktycznie piszczały, uciekając w podskokach. Przyjaciołom udało się wejść do lasu i odnaleźć wielką jabłoń, na której szczycie rosło jedno złote jabłuszko. Lidia wsiadła na Cukiereczka, pofrunęła do góry i zerwała owoc. Udało się zdobyć drugi składnik eliksiru.

Pozostała najtrudniejsza część wyprawy – trzeba było przechytrzyć wiedźmę Lolę i zdobyć krople soku z jej pierścienia. Wiedzieli, że czarnej drogi prowadzącej do wiedźmy nie zdołają pokonać sami. Mogli jednak liczyć na Misia Gumisia – przyjaciela gąsienicy Żelinki i Ciasteczkowego Jeżyka. Poprosili go o pomoc, a on postanowił stanąć na czele swojej armii żelkowych miśków. Po trwających dziesięć dni treningach armia ruszyła w drogę, zaopatrzona w kilkumetrowe liny. Od Misia Gumisia Lidia dowiedziała się, że żeby zniszczyć wiedźmę trzeba ją po prostu wywrócić, a wtedy Lola się rozsypie.

Kiedy doszli do zamku ustawili się w pięciu rzędach i czekali. W końcu wiedźma wyszła z zamczyska. Towarzyszyły jej tylko dwa ogry, ponieważ wiedźma była pewna, że takie małe miśki nie mogą jej zrobić żadnej krzywdy. Jednak pycha doprowadziła ją do zguby. Lidia szybko pochlapała ogry wodą, a miśki tak sprytnie przerzucały między sobą liny, że w kilka minut oplotły nogi Loli. Wiedźma straciła równowagę i runęła z hukiem na ziemię, rozsypując się w pył. Został po niej jedynie pierścień z sokiem, niezbędnym do



sporządzenia eliksiru.

Lidia nie mogła uwierzyć, że udało się zdobyć wszystkie potrzebne składniki. Ucałowała Cukiereczka, który też był bardzo szczęśliwy. Pożegnali się serdecznie z misiową armią i jej dowódcą i ruszyli w drogę powrotną. Żeby było szybciej Lidia szła w magicznych butach, a Cukiereczek leciał przed nią, wypatrując Czekoladowej Świnki.

Zgodnie z obietnicą świnka sporządziła eliksir, po wypiciu którego Cukiereczek znowu stał się ślicznym, małym ptaszkiem. Bardzo szczęśliwi, choć mocno wyczerpani przyjaciele, wrócili do domu. Tak to wytrwałość, odwaga i dobre serduszko dziewczynki zostały nagrodzone.

Od tej pory Lidia i Cukiereczek często odwiedzali przyjaciół z Cukierkowej Krainy, która po zniknięciu wiedźmy Loli stała się najbezpieczniejszym miejscem na ziemi.

AUTOR: MICHALINA STACH

„MAŁY KAROLEK I STARY KUTER”

W dużym porcie nad błękitnym morzem stał sobie mały, kolorowy stateczek. Jego właściciel nie wypływał zbyt często na głębokie wody, dlatego też za każdym razem, gdy statki przybijały do portu – Karolek – bo tak miał na imię stateczek, wypytywał je o ciekawostki ze środka morza. Najbardziej Karolka fascynowały opowieści z nocnych połowów, te o sieciach pełnych ryb i wielkich wiatrach i deszczach podczas tych połowów nierzadko panujących. Stateczek z zapartym tchem słuchał opowiadań kolegów i w głębi duszy marzył, że i on kiedyś wypłynie na szerokie wody, zarzuci sieci i przywiezie mnóstwo ryb.

Pewnego dnia właściciel Karolka zjawił się w porcie i powiedział do niego z bardzo zadowoloną miną:

- Witaj mój drogi, będziemy mieli bardzo ważne zadanie do wykonania.
- Karolek już oczyma wyobraźni widział jak wypływa w morze, zarzuca sieci i czeka na zdobycz, lecz właściciel mówił dalej.
- Jutro przyjeżdżają do nas dzieci z zaprzyjaźnionego przedszkola, zostaną tutaj jakiś czas więc będziemy mogli pokazać im jak cudne jest nasze morze. Już niebawem zabierzemy je na rejs, aby mogły posłuchać szumiących fal i podziwiać przepiękne widoki. To będą na pewno niezapomniane rejsy!
- Ehhh, a już myślałem, że w końcu szykuje się jakiś niezapomniany, wielki połów, a tu tylko wycieczki z dziećmiakami – westchnął cichutko nieco rozczarowany stateczek.

Właściciel zabrał się za czyszczenie pokładu i przygotowywanie wszystkiego na przyjazd małych pasażerów. Chciał, aby już samo wejście na pokład wywołało u dzieci zachwyt, wszak miały to być niezapomniane dla nich chwile.

Karolek nie był zbyt zadowolony z tych poczynąń, ruchy szczotki po jego pokładzie wywoływały u niego łaskotki, a pachnący płyn do szorowania kręcił w nosie. Gdy pokład lśnił już tak, że można się było przeglądać niczym w lustrze, właściciel pozamykał wszystko dokładnie i wrócił do domu, aby przywitać swych gości. Karolek stał osowiały na brzegu przystani, nie podobał mu się pomysł wycieczek krajoznawczych, przecież on jest stworzony do łowienia ryb, nie jest statkiem wycieczkowym tylko kutrem rybackim – przynajmniej tak cały czas mu się wydawało. Gdy tak stał i delikatnie kołysał się pod wpływem falującej wody, podpłynął do niego stary, zmęczony kuter rybacki Zdzisław.

– Witaj Karolku! Coś widzę dzisiaj nie w sosie jesteś? Jakaś taka krzywa mina, stało się coś poważnego? – zapytał z troską Zdzisław.

– Oj proszę pana stała się tragedia niesłychana, mój właściciel postanowił ze mnie zrobić statek wycieczkowy, a przecież nie takie było moje przeznaczenie. Ja miałem pływać na połowy, przywozić sieci pełne ryb sprawiać tym radość ludziom, a nie wozić dzieciaki na jakieś wycieczki. Przecież żaden pożytek z tego, no mówię tragedia jakich mało – żalił się Karolek.

– Karolku i to jest powód twoich łez? – zapytał z uśmiechem stary kuter. – Wiesz ilu z nas chciałoby móc wozić pasażerów na wycieczki zamiast każdej nocy narażać się na niebezpieczeństwo podczas połowów? Wypływanie każdej nocy wcale nie jest takie super jakby ci się wydawało, jeśli chcesz zabiorę cię dzisiaj ze sobą i sam się przekonasz na własnym pokładzie, że nie jest to łatwy kawałek chleba.

– Naprawdę mógłbym popłynąć? – zapytał z niedowierzaniem Karolek.

– Ależ oczywiście, tylko zbieraj energię abyś dał radę, bo to naprawdę nie jest takie proste jak ci się wydaje. Podpłynę po ciebie wieczorem, bądź gotów do drogi – powiedział kuter i oddalił się na swoje miejsce by odpocząć przed

wieczorną pracą.

Karolek przez całą resztę dnia nie myślał o niczym innym tylko o tym, jak będzie zarzucał sieci i łowił ryby, dużo ryb, całe mnóstwo świeżych ryb wyciąganych na pokład. Ten dzień minął Karolkowi na snuciu marzeń i opowiadaniu każdemu kto tylko się napatoczył o wielkich planach dzisiejszej nocy. W końcu nastał wieczór, słońce schowało się za chmury, na dworze zrobiło się szaro, buro – to znak, że nadchodziła noc.

– I jak gotowy do drogi? – zapytał kuter Zdzisiek podpływając do Karolka.

– Ależ oczywiście na połów jestem gotowy od urodzenia – odpowiedział pewnie stateczek.

– Skoro tak to płyniemy, tylko pamiętaj trzymaj się blisko mnie i słuchaj co do ciebie mówię, abyś rano zawinął do portu cały i zdrowy – udzielił ostatnich wskazówek kuter.

Karolek skinął głową na znak, że wszystko dokładnie zrozumiał i grzecznie popłynął w ślad za Zdziśkiem. Płynęli długo, na morze gdzie woda nie jest już tak błękitna jak przy brzegu, gdzie nie widać już lądu z żadnej strony, a niebo wydaje się wyjątkowo czarne. Płynęli i płynęli, Karolek zaczął się już zastanawiać, czy w ogóle kiedyś dopłyną do celu, gdy nagle kuter zatrzymał się i zarządził zarzucanie sieci. Karolek zarzucił sieć i był pewien, że nie minie pięć minut, a na jego pokładzie zaroi się od świeżutkich rybek. Kuter stał cierpliwie pozwalając się swobodnie kołysać falującej wodzie, jednak dla Karolka nie było to takie łatwe – co chwila wyciągał sieci w górę by sprawdzić, czy aby jakaś rybka w nich już nie zawitała.

– Karolku stój spokojnie, takim zachowaniem płoszysz naszą zdobycz, jak tak dalej pójdzie nie przywieziemy z tego połowu ani jednej malutkiej rybki – upominał kuter.

Jednak zachowanie to było silniejsze od Karolka, nie potrafił się uspokoić,

kręcił się wiercił, co rusz zaglądając w sieć.

– Takie bezczynne czekanie jest nudne – skwitował w końcu Karolek spoglądając w stronę kutra. – Nic się tu nie dzieje, a gdzie te burze i pioruny o których opowiadały mi inne kutry, gdzie te ryby, które same wpadają w sieć? Kiedy moja sieć będzie się rozrywała od ciężaru złowionych rybek?

– Oj dzieciaku! Przecież tłumaczyłem ci dzisiaj rano, że połowy wcale nie są takie proste i przyjemne jak ci się wydaje, na wszystko trzeba czasu i cierpliwości, a przede wszystkim spokoju. Ciesz się, że dzisiejszej nocy morze jest spokojne, burze, wiatry i błyskawice to nic przyjemnego, wierz mi chłopcze – ze stoickim spokojem tłumaczył Karolkowi kuter.

– Ehhhh, a koledzy snuli takie piękne opowieści, widzę jednak, że nic niezapomnianego mnie tu nie czeka, obym tylko złowił jakąś rybkę, bo gdy właściciel rano przyjdzie do portu będzie zły, że sam wybrałem się w morze, dobrze by było mieć coś na jego udobruchanie – powiedział Karolek i idąc za wskazówkami kutra stał już grzecznie i czekał, aż ich połów dobiegnie końca.

Po kilku godzinach spędzonych w całkowitej ciszy i ciemności nocy, Zdzisiek zarządził wciąganie sieci na pokład i powrót do portu.

– Ależ Zdziśku prawie nic nie złowiłem, ledwie trzy ryby, jak ja się pokażę kolegom w porcie, co powiem mojemu właścicielowi? – mruczał pod nosem Karolek.

– Karolku za chwilę przyjdzie świt, już nic więcej nie uda nam się złowić, a jedynie moje sieci mogą się pozrywać pod ciężarem ryb – tłumaczył kuter.

– No tak ty możesz wracać, masz pokład pełen świeżego towaru, to się nazywa udany połów, a ja nie mam się nawet czym chwalić.

– Karolku spójrz jakie masz duże i ładne ryby, wprawdzie nie jest ich cały pokład, ale jak na pierwszy raz to i tak poszło ci nieźle, jeśli chcesz to jutro znowu możesz ze mną wypłynąć i spróbować swych sił, natomiast teraz naprawdę musimy już wracać do portu.

Karolek zerknął na swój pokład na którym leżały trzy duże i ładne rybki, zerknął też na pokład Zdziśka na którym roilo się od różnej wielkości i gatunku świeżych ryb. Przeanalizował sobie w głowie całą dzisiejszą noc, ile to musiał się nastać, jak cichutko musiał stać, no i w końcu zdał sobie sprawę, że tej nocy nie zmrużył nawet oka.

Płynęli razem w stronę portu. Woda robiła się coraz bardziej błękitna i przyjazna, a na niebo powoli wkraczało słońce, robiło się coraz jaśniej i cieplej. Gdy zawinęli do portu na brzegu stał już zaniepokojony właściciel Karolka, nerwowo gestykulując coś do jednego z marynarzy.

– Och, to teraz dopiero będzie draka – pomyślał Karolek.

Podpływał powoli do miejsca w którym zawsze cumuje, był coraz bardziej przestraszony co powie właściciel? Dostarczył mu swym wypłynięciem nie mało nerwów, błyszczący pokład w ciągu jednej nocy zamienił się w pachnące rybami pobożowisko, a przecież dzisiaj miały przyjechać dzieci... Właściciel gdy tylko zauważył Karolka podbiegł do niego i zaczął przecierać oczy ze zdumienia.

– Gdzie efekty mojej pracy? Jak ja cię teraz pokażę dzieciom, przecież nie mogą wejść na tak brudny pokład, to dla nich nie będzie żadną przyjemnością, a mieliśmy im dać dzisiaj tyle radości. Jednak ty Karolku wolałeś myśleć tylko o sobie... – skwitował ze smutkiem właściciel i oddalił się w stronę swojego domu.

Karolek zerknął na siebie, na oddalającego się już właściciela i zdał sobie sprawę z tego co właśnie zrobił. Właściciel miał rację – myślał tylko o sobie, o chęci zaspokojenia tylko swoich zachcianek, nie pomyślał jak po jego wyczynie poczują się inni. Dotarło do niego również to, że tak jak mówił stary kuter połowy to wcale nie jest łatwy kawałek chleba, a i opowieści o nich są zdecydowanie przesadzone. Trzy rybki na pokładzie uzmysłowiły Karolkowi, że połowy to wcale nie jest to co chciałby robić do końca swego pływania po

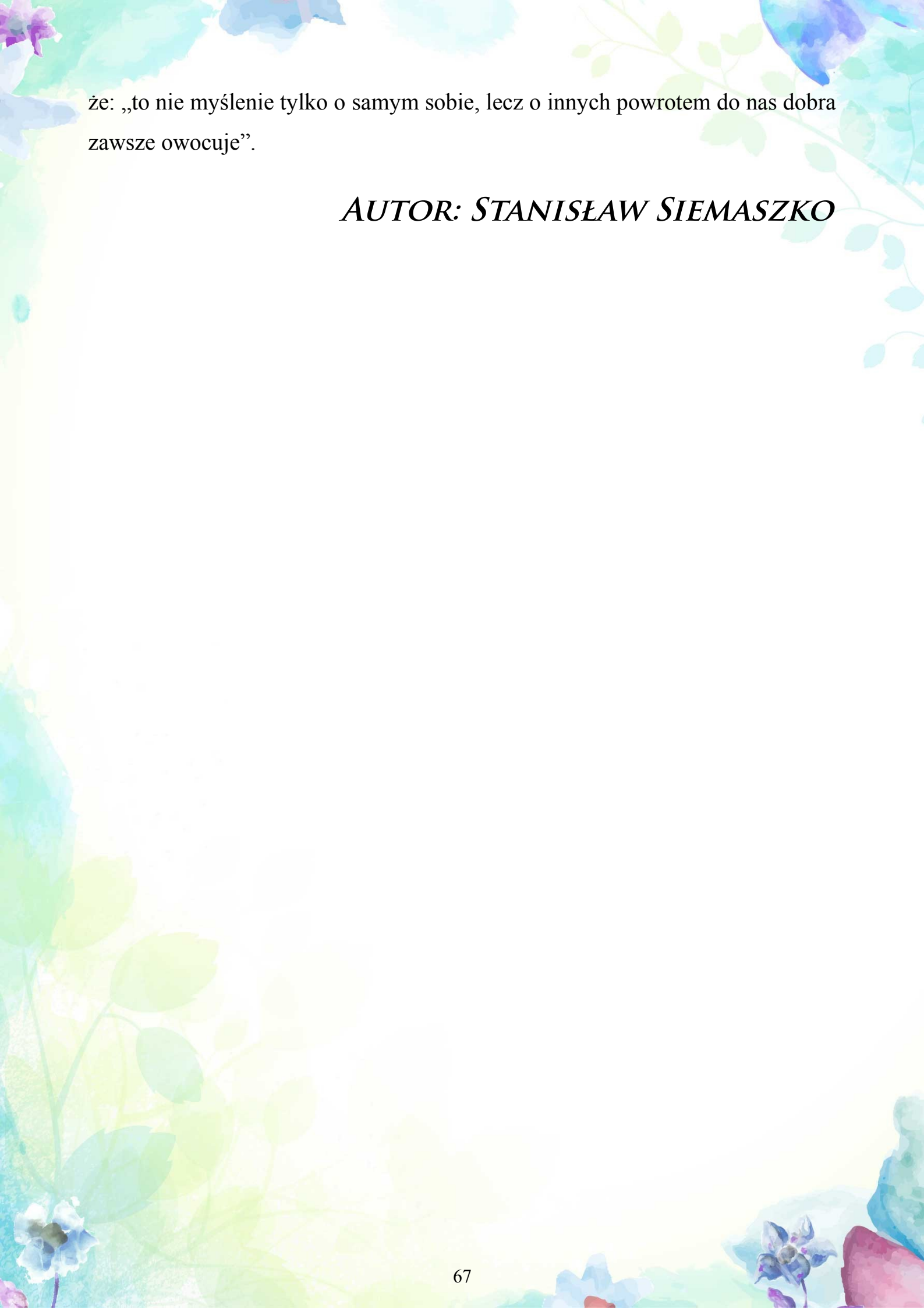
morzu.

– Proszę zaczekać – zawołał szybko za właścicielem – ja przepraszam bardzo, to co zrobiłem było bardzo lekkomyślne i egoistyczne, nie chciałem sprawić nikomu zawodu. Obiecuję, że do popołudnia będę lśnił jeszcze bardziej niż wczoraj. Proszę przyprowadzić dzieci popłyniemy wspólnie na niezapomniany rejs – powiedział do właściciela Karolek i czym prędzej zabrał się za doprowadzanie pokładu do porządku.

Tak jak obiecał do popołudnia znów ślicznie błyszczał i mienił się kolorami w promieniach słonecznych. Znów był małym, ślicznym stateczkiem czekającym na swych małych pasażerów. Popołudniu na jego pokładzie zrobiło się gwarno i bardzo wesoło, wraz z dziećmi i właścicielem Karolek wypłynął na głębokie wody, jednak do miejsca gdzie woda jest nadal błękitna i przejrzysta, a z każdej strony w oddali widać rozpościerający się ląd.

Karolek delikatnie kołysał się i podskakiwał na falach nucąc marynarskie piosenki i sprawiając tym ogromną radość swym małym pasażerom. Nikt nie zwracał mu uwagi aby zachowywał się ciszej, aby nie kręcił się w kółko, wręcz przeciwnie – każdy ruch Karolka był nagradzany gromkim śmiechem i entuzjastycznymi okrzykami. Karolek był dumny z siebie, że może sprawić tak wiele radości innym. Zrozumiał, że nie musi wypływać w nocy na głębokie morze, aby zadowolić swego właściciela, zrozumiał, że jego przeznaczenie jest zupełnie inne.

Dzięki staremu kutrowi przekonał się, że nie warto myśleć tylko o sobie i swoich zachciankach, że czasem warto pomyśleć o innych. Od tego dnia Karolek już nie myślał o pływaniu na nocne połowy, a coraz częściej zabierał pasażerów na swój pokład i woził po bezkresach mórz pokazując im piękno przyrody i wywołując tym samym wiele radości i uśmiechu na twarzach. Nauczył się nasz mały bohater, że myślenie o innych i dawanie im radości może uwolnić w nas ogromne pokłady miłości. Więc niechaj i każdy z Was zrozumie,

A decorative watercolor border featuring various flowers and leaves in shades of blue, green, and purple, framing the text.

że: „to nie myślenie tylko o samym sobie, lecz o innych powrotem do nas dobra
zawsze owocuje”.

AUTOR: STANISŁAW SIEMASZKO

„PRZYGODY SÓWKI SONII”

W pięknym zielonym lesie, w koronach starych dębów mieszkała sowa rodzina. Pewnego dnia młoda sówka o imieniu Sonia przyszła do swojej babci sowy Stefani i zapytała ją o mądrość:

– Babciu kochana jesteś najmądrzejsza na świecie. Skąd masz taką wiedzę?

Stefania zastanowiła się chwilę i stanowczym, lecz spokojnym głosem odpowiedziała:

– Droga Soniu, moja wiedza pochodzi z mojego doświadczenia życiowego.

– Ale babciu, ja dobrze się uczę, czytam książki, ale nie jestem taka mądra jak ty... – stwierdziła zasmucona Sonia.

Babcia Stefania uśmiechnęła się i rzekła:

– Wiedza nabyta w szkole jest istotna kochanie i pomoże ci w poznaniu świata, ale kluczem do mądrości jest zrozumienie świata i pojęcie najważniejszych wartości... wartości, które są najtrwalsze, najcenniejsze i pomagają sprostać wszelkim przeciwnościom losu.

Sonia jeszcze chwilę zastanowiła się na tym co powiedziała babcia i udała się do swojej dziupli. Przez całą noc, leżąc w łóżku rozmyślała o słowach, które usłyszała. Nad ranem spakowała plecak i postanowiła wyruszyć w świat w poszukiwaniu najważniejszych wartości. Przemierzyła wiele kilometrów, aż w końcu napotkała srokę o imieniu Katarzyna.

– A co ty tu robisz ptaszyno? – zapytała sroka.

– Przemierzam świat w poszukiwaniu najważniejszych wartości.

Katarzyna zaśmiała się drwiąco i rzekła:

– Moja droga! Wszyscy wiedzą, co jest najważniejsze. Chodź ze mną, a ci

pokażę. Zaprowadziła Sonię do wielkiego gniazda wyłożonego po brzegi złotem, monetami i biżuterią.

– Wiesz już co jest najważniejsze? To wszystkie te drogocenne przedmioty i pieniądze! Można za nie mieć wszystko, można kupić to czego się pragnie – to wartość dająca szczęście.

Na sąsiedniej gałęzi rozległ się cichutki, delikatny śmiech. Oczom Soni ukazała się piękna sikorka o żółto-niebieskim upierzeniu.

– Witam, nazywam się Eliza. Przysłuchiwałam się waszej rozmowie i nie mogę zgodzić się z tym, co mówi sroka Katarzyna. Otóż ja wiem co jest najważniejszą wartością na świecie – to piękno. Piękne istoty, wyróżniające się nieprzeciętną urodą są pewne siebie, znają poczucie własnej wartości, są lepiej odbierane przez innych, mają łatwiej w życiu od brzydkich. Są skazane na sukces i dostatek. Tak więc istoty piękne są szczęśliwsze! Co więcej, my piękni uwielbiamy otaczać się pięknymi, nietuzinkowymi przedmiotami, przebywać w ładnych miejscach – przykładem jest moje śliczne gniazdko urządzone ze smakiem, zgodnie z obowiązującymi trendami i kanonami piękna.

Nagle nad głowami dyskutujących ptaków rozpostarł się cień wielkich skrzydeł majestatycznego kruka. Usiadł on na grubej gałęzi i przemówił doniosłym, szlachetnym głosem:

– Ptasi obywatele! Nazywam się Bonifacy II. Jestem królem całego kruczego gatunku. Mój wierny, nadworny giermek doniósł mi o waszej rozmowie. Stwierdziłem, że jako głowa kruczego rodu muszę wyprowadzić was, przedstawicieli innego gatunku, z błędu i muszę oświadczyć wam osobiście jaka jest najważniejsza wartość na świecie. Jest to władza. Mając władzę ma się wszystko. Ja posiadam autorytet i kompetencje do wydawania decyzji, zakazów i nakazów. Z kolei moi poddani są mi podporządkowani, wypełniają moją wolę. Dlatego nie ma cenniejszej wartości niż władza. Wystarczy spojrzeć na moje ogromne krucze królestwo z moim zamkowym

gniazdem w części centralnej.

Sonia z wielkim zainteresowaniem przysłuchiwała się ciekawej rozmowie ptaków. Jednak ich wypowiedzi były tak sprzeczne, że nie uzyskała jednoznacznej odpowiedzi na pytanie o najważniejszą wartość. Nieopodal przelatywał mały, szary wróbelek Leoś. Zauważył zaciętą wymianę zdań ptaków i chcąc zaspokoić swoją ciekawość wylądował tuż obok. Cichutko zapytał:

– Czy mogę się dowiedzieć, o czym ptaszki tak zażarcie dyskutują?

Kruk wybuchnął śmiechem i złośliwie rzekł:

– My sprzeczamy się o to, jaka jest najważniejsza wartość na świecie, ale wątpię, czy ty wróblu pospolity możesz coś o tym wiedzieć.

– No właśnie – dodała sikorka – nie jesteś ani piękny, ani bogaty, ani nie masz żadnej władzy. Jesteś tylko małą bezbronną ptaszyną bez żadnych zalet, atutów i dobrodziejstw. Nawet nie mieszkasz w prawdziwym gnieździe uwitym w leśnych koronach drzew, jak na prawdziwego ptaka przystało, tylko żyjesz na poddaszu stodoły w pobliskim gospodarstwie.

– Hahahh hahahah... co ty możesz wiedzieć o wartościach wyższych – zaczęły się naśmiewać ptaki z biednego wróbla.

Ten odwrócił się zasmucony i odleciał w stronę swojego domu.

Zacięta dyskusja trwała jeszcze kilkanaście dobrych minut. Niespodziewanie przerwał ją odgłos uciekających w popłochu małych, leśnych gryzoni i ptaków. Gdy Sonia skierowała wzrok ku niebu ujrzała wielkiego, strasznego jastrzębia, polującego na swój obiad. Drapieżnik miał przerażające szpony, ostry, zakrzywiony dziób oraz przenikliwe spojrzenie, które paraliżowało jego ofiary.

– Uciekajmy! – krzyknął z przerażeniem Bonifacy II.

Jednak na ucieczkę było już za późno. Straszny jastrząb odciął ptakom jedyną drogę ucieczki.

– To już koniec! – wrzasnęła sroka.

Jastrząb zbliżał się coraz bardziej. Sonia strasznie się bała. Przypomniła sobie jednak słowa swojej babci, która powiedziała, że najwyższa wartość jest najtrwalsza i pomaga przezwyciężyć wszelkie przeciwności losu. Rzekła więc do Bonifacego:

– Kruku jesteś przecież królem, masz władzę, użyj jej i rozkaż jastrzębiowi, aby nas zostawił w spokoju, albo poproś poddanych o pomoc!

– Soniu niestety moja władza nie pomoże, nie sądzę, aby ten olbrzym podporządkował się moim rozkazom, a moi poddani już uciekli – odpowiedział z bezradnością.

– Katarzyno! Mówiłaś, że za pieniądze można mieć wszystko, więc kup naszą wolność – krzyknęła Sonia.

– Obawiam się, że jastrząb chce jedynie zaspokoić swój apetyt, nie zadowoli go biżuteria czy złoto – odpowiedziała przerażona sroka.

– To może ty Elizo użyj swojego wdzięku i przekonaj jastrzębia, aby nas nie pożarł i puścił nas wolno.

Sikorka zrezygnowana odpowiedziała:

– Jestem pewna, że mój czar i powab na niego nie podziała – odpowiedziała zrezygnowana sikorka. Jastrząb stanął na przeciwko przerażonych ptaków, oblizują się powiedział:

– Widzę, że mój dzisiejszy jadłospis będzie bardzo urozmaicony.

Ofiary zdawały sobie sprawę, że nie ma już dla nich ratunku. Nagle zobaczyły wróbelka Leosia. Zawołał w ich stronę:

– Ja odwrócę jego uwagę, a wy uciekajcie do mojego gniazda w pobliskim gospodarstwie! Bohaterski ptaszek zbliżył się do ogromnej, strasznej głowy jastrzębia i krzyknął do niego:

– Złap mnie, złap mnie olbrzymie! Brzydkie ptaszysko, nie boję się

ciebie!

Wściekły oprawca ruszył w kierunku Leosia. Ten mały, zwinny wróbelek zaczął uciekać, chowając się w małych, gęsto porośniętych gałązkach. W tym czasie Sonia i reszta ptaków skierowali się w stronę wskazanego miejsca. Zdążyli tam dotrzeć bezpiecznie. Sówka rozpaczliwie zapytała:

– A co z Leosiem?

– Obawiam, droga sówko, że Leoś oddał za nas życie. Nie sędzę, aby zdołał uciec – rzekł Bonifacy łamiącym się głosem.

Po tych słowach ptaki jakby zamarły, chwilą ciszy uczciły bohaterski czyn wróbelka. W tym momencie do gniazda na poddaszu przyleciał odważny ptaszek.

– Udało mi się go zgubić – powiedział.

– Hurra! Niech żyje Leoś! Leoś nasz wybawca! – zawołały szczęśliwe ptaki.

Wróbelek zarumienił się i lekko zawstydzonym głosem rzekł:

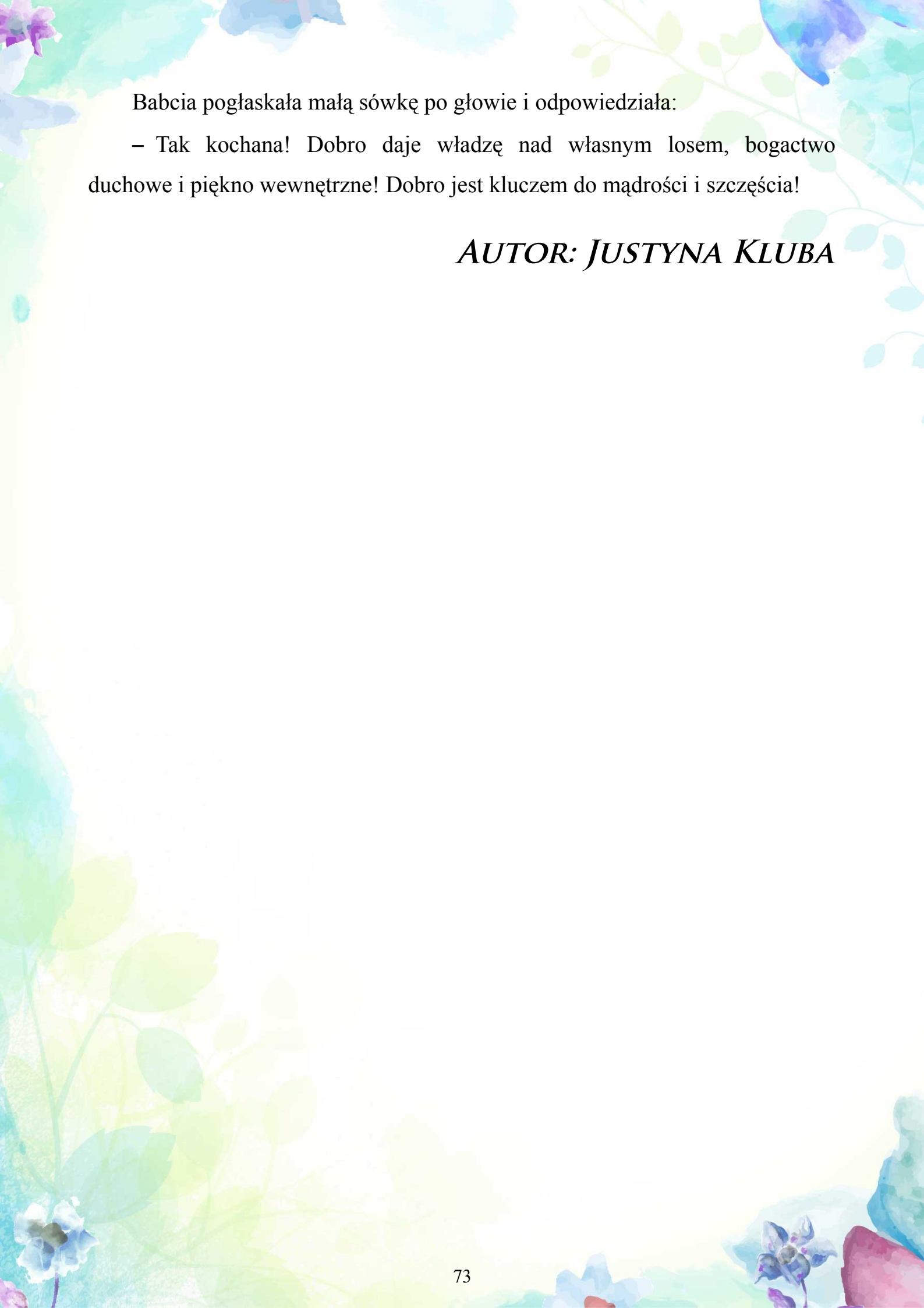
– Przecież to naturalne, że trzeba sobie pomagać w potrzebie.

Jeszcze przez długi czas ptaki świętowały zwycięstwo nad złowrogim jastrzębiem. Po tym jak emocje opadły Sonia poszła w ustronne miejsce, zamyśliła się analizując wszystkie zdarzenia. Nagle zerwała się i oświadczyła innym ptakom:

– Dziękuję wam przyjaciele, dzięki wam jestem mądra – rzekła tajemniczo.

Pożegnała się, wzięła swój plecak i szybko popędziła w stronę swojego domu. Od razu udała się do dziupli Babci Stefani i rzekła z przejęciem w głosie:

– Babciu już jestem mądra i wiem jaka jest najważniejsza wartość – to dobro, które przejawia się poprzez bezinteresowną pomoc, poświęcenie, odwagę, przyjaźń; poprzez moralne i etyczne postępowanie. To te wartości są najcenniejsze, najpiękniejsze i najtrwalsze.

The page is decorated with soft watercolor illustrations of flowers and leaves. In the top left corner, there are purple and blue flowers. In the top right, there are blue and green leaves. The bottom left features green leaves and a small blue flower. The bottom right has a mix of blue, green, and pinkish-red floral elements. The background is a light, warm yellow.

Babcia pogłaskała małą sówkę po głowie i odpowiedziała:

– Tak kochana! Dobro daje władzę nad własnym losem, bogactwo duchowe i piękno wewnętrzne! Dobro jest kluczem do mądrości i szczęścia!

AUTOR: JUSTYNA KLUBA

„KRÓLEWNA I ŻABKA RECHOTKA”

Na łące za lasem, nieopodal małego stawu żyła sobie mała żabka o imieniu Rechotka. Była bardzo miłym i spokojnym zwierzątkiem. Jednak nie była zwyczajną żabką, jakich wiele mieszka w stawach czy kałużach, gdyż Rechotka zawsze marzyła by przyjaźnić się ludźmi. Nie chciała być ciągle sama.

Kiedy pewnego dnia skakała sobie po łące, zobaczyła dziewczynkę z piękną, błyszczącą koroną. Była to mała królowna, która miała na imię Róża. Kiedy zobaczyła żabkę Rechotkę, wzięła ją na ręce i bardzo mocno przytuliła do siebie. Żabka miło zarechotała i przytuliła swoją nową towarzyszkę.

Gdy razem poszły do zamku, królowi niezbyt spodobało się, że królowna przyprowadziła takiego gościa. Król rozkazał królownie, aby ta odniosła żabę na polanę poza mury królestwa. Królowna bardzo prosiła ojca, by pozwolił zostawić żabkę i wtedy król się na to zgodził. Królowna włożyła żabkę Rechotkę do pięknej klatki ozdobionej diamentami. Klatka nie była zamknięta, bo miała być nowym domkiem żabki. Królowna chciała, aby żabka Rechotka nie bała się przebywać w zamku. Król nie rozumiał, jak jego córka może przyjaźnić się z takim zwierzęciem jak żaba.

– Pies, kot, chomik to rozumiem pomyślał, ale żaba...

Dlatego też król powiedział, że należy „to coś” zamknąć w klatce, żeby nikt nie śmiał się, że w królestwie na zamku hoduje się żaby.

Rechotce zrobiło się bardzo przykro, bo choć nie potrafiła mówić ludzkim głosem, to jednak rozumiała wszystko. Od razu można było zauważyć, że żabka jest przygnębiona. Róża także spostrzegła, że jej przyjaciółka rozumiała, że nie jest mile widziana na zamku. Wzięła ją na ręce i powiedziała:

– Nie martw się moja kochana przyjaciółko, jeszcze raz porozmawiam z moim tatą i zrobię wszystko co w mojej mocy, abyś mogła ze mną

zamieszkać. A wiedz, że ja jako ukochana córeczka króla mam w tym królestwie dużo do powiedzenia.

W tej chwili mrugnęła do Rehotki oczkiem, dając jej do zrozumienia, że jeszcze wszystko nie jest stracone.

Królewna udała się do ojca. Król siedział na tronie w wielkiej Sali Królewskiej. Na głowie miał założoną koronę a w rękę trzymał berło. Wyglądał na bardzo srogiego króla, ale kiedy tylko ujrzał swoją córkę od razu uśmiechnął się do niej serdecznie i rzekł:

– Co mogę dla ciebie zrobić moja córeczko?

Królewna powiedziała:

– Tatusiu, czy ten wolny pokój obok mojej komnaty mógłby być pokojem dla żabki? Bardzo ją polubiłam i stałyśmy się prawdziwymi przyjaciółkami. Chciałabym, aby Rehotka mieszkała blisko mnie.

– To jest bardzo poważna sprawa – odpowiedział Król. – Muszę to przemyśleć. Na razie niech żaba pozostanie w swojej klatce.

Nawet Królowa starała się przekonać króla, aby zgodził się na zamieszkanie żabki w pałacu razem z królewną. Niestety król jej również nie posłuchał. Królewna postanowiła się zająć sama tą sprawą. Długo się zastanawiała, co może zrobić aby skutecznie przekonać króla.

Postanowiła przygotować niespodziankę razem z żabką Rehotką. Miało to być przedstawienie. Chciała, aby przedstawienie było idealne i udane. Dlatego najpierw poszła do nadwornej krawcowej, która pomogła jej przygotować piękną suknię na występ. Cały czas towarzyszyła jej żabka Rehotka. Krawcowa uszyła piękną suknię, a królewna ozdobiła ją pięknymi koralikami i cekinami. Była idealna. Następnie udała się do nadwornego malarza, aby pomógł jej przygotować dekorację do przedstawienia, które można ustawić na scenie. Gdy dekoracje były już gotowe, królewna postanowiła zająć się muzyką. Poszła do nadwornej orkiestry. Razem z muzykami przygotowała

piosenkę i taniec.

Królewna Róża powiedziała:

– Jestem dobrej myśli, damy sobie razem radę.

Następnie postanowiła odwiedzić królewską kucharkę, aby ta upiekła ciasto i babeczki dla gości. Później królewna zabrała się do przygotowania zaproszeń. Bardzo się starała i chciała, aby były idealne i spodobały się gościom. Cały czas towarzyszyła jej żabka Rehotka, nie odstępowała królewny na krok.

Po skończeniu zaproszeń królewna wraz z żabką postanowiły je rozdać gościom. Wszyscy byli bardzo zaskoczeni, ale zgodzili się przyjść na przedstawienie. Gdy wszyscy goście byli już na Sali Królewskiej na scenę wyszła królewna wraz z żabką Rehotką. Królewna zaczęła śpiewać i tańczyć. Żabka dzielnie towarzyszyła „artystce” na scenie. Królewna zaśpiewała piosenkę i zatańczyła, a Rehotka wesoło skakała dookoła. Występ bardzo się spodobał zaproszonym gościom. Królewna na koniec się ukloniła a wszyscy goście bili brawo. Najbardziej występ spodobał się Królowi. Klaskał najdłużej z całej publiczności. Wtedy król uściskał swoją córkę i rzekł, że skoro tak bardzo zależy jej na tym, aby żabka zamieszkała w zamku, to niech tak się stanie. Królewna bardzo się ucieszyła z tej decyzji, a jeszcze bardziej ucieszyła się żabka.

– Bardzo ci dziękuję tatusiu, że żabka Rehotka może zamieszkać ze mną w pałacu. Na pewno będzie jej tam przytulnie i będzie bardzo szczęśliwa – powiedziała uradowana Róża.

Kiedy jednak żabka miała wprowadzić się na dobre, królewna pomyślała, że może zamkowa komnata nie będzie najodpowiedniejszym miejscem dla Rehotki.

– Przecież żabki muszą pływać w stawie, polować na muchy i komary, a w zamku ani much ani komarów nie ma i co najwyżej miska z wodą.

Stwierdziła, że lepiej będzie, gdy zamieszka w królewskim ogrodzie. Królowna Róża zaprowadziła żabkę Rehotkę do królewskiego ogrodu. Królewski ogród był bardzo duży i piękny. Było w nim bardzo dużo kwiatów, krzewów i drzew. Ale najważniejszym miejscem w królewskim ogrodzie było jezioro. Na jeziorze były piękne kwiaty lilii wodnej, na których będzie mogła zamieszkać Rehotka.

Księżniczka zapytała:

– Żabko Rehotko czy podoba ci się to miejsce i chciałabyś tutaj zamieszkać? Jest to bardzo blisko pałacu i będziemy mogły się codziennie spotykać.

Żabka podskoczyła trzy razy tak wysoko, że jeszcze nikt nie widział tak wysoko skaczącej żaby. Różyczka położyła swą przyjaciółkę na pięknej, ogromnej lilii wodnej, i powiedziała:

– Oto twoja część królestwa, życzę ci byś była tu szczęśliwa.

I tak Rehotka zamieszkała w jeziorze w królewskim ogrodzie. Codziennie spotykała się ze swoją najlepszą przyjaciółką Królowną Różą. Wiele razy bawiły się razem, przeżyły dużo przygód. Trzeba pamiętać, że o prawdziwych przyjaciół trzeba zawsze walczyć. Przyjaźń jest najważniejsza w życiu, ponieważ na prawdziwych przyjaciół zawsze możemy liczyć.

AUTOR: JULIA PASZKOWIAK

„WIGILIA WIELKANOCNEGO ZAJĄCA”

Śnieg sypał od kilku dni. Pani Zima nie żałowała światu ażurowych śnieżynek, które tworzyły puchate dywany, wysokie zaspy i strzeliste, lśniące jak brokat kopce. Jak okiem sięgnąć, biało... Nawet czubki choinek dostały grube śniegowe czapy i kożuszki, które szczelnie otulały igielki. Pod jednym z drzewek tkwił zając, po czubki uszu zanurzony w mroźnej bieli. Nie wyglądał na zadowolonego. Gorzej, był po prostu zły! Szybko poruszał wąsami, tupał nogami i mruczał coś pod różowym nosem, nerwowo poruszając uszami.

– Cześć zając, udajesz bałwana? – z gałęzi wysokiej sosny zaskrzeczała wrona, drapiąc się pazurem pod skrzydłem.

– Sama jesteś bałwanem – odburknął zając, wyskakując z zaspy i strząsając śnieg z futerka.

– A coś taki nie w sosie? Przecież dziś Wigilia, zamiast stroić miny, wziąłbyś się do strojenia choinki! – wrona nie kryła oburzenia.

– Jeszcze czego, nie mam zamiaru ganiać po lesie za szyszkami, sami sobie ubierajcie tego wiechcia! – wysyczał ze złością długouchy.

– No wiesz! Dobrze, że inni tego nie słyszą. Królowa śniegu cię zaczarowała, czy co? Nie cieszysz się ze świąt ani trochę? – oczy wrony robiły się okrągłe ze zdziwienia.

– Ani krzty! Ani kawałek! Wcale, ale to wcale się nie cieszę! Ubierajcie sobie tę swoją choinkę i... – zając zawahał się na chwilę – NIE WESOŁYCH ŚWIĄT! – wykrzyknął z furją i pokicał w stronę pól.

– O lesie! Co się z nim dzieje? NIE WESOŁYCH ŚWIĄT? Co go ugryzło? Nie poznaję zająca, na Wielkanoc był taki wesolutki... – wrona ciężko westchnęła i odleciała.

Na niebie pojawiły się grube chmury. Pierwszej gwiazdki w ogóle nie było widać. Za chwilę pewnie znowu sypnie puchem. Ziąb stał się nieco dokuczliwy. Zwierzęta przestępowały z łapy na łapę, z kopytka na kopytko i podskakiwały, by się nieco rozgrzać. I choć wszystkie miały grube futra, tudzież puchowe, pierzaste okrycia, mróz dawał się im we znaki, podszczypując to w uszy, to w nosy. Tłoczyły się wokół choinki, stojącej na środku leśnej polany.

Choinka była piękna! Sięgała prawie do nieba, miała rozłożyste gałęzie z milionami pachnących żywicą igiełek. Ptaki przystroiły jej czubek gwiazdką ze słomy, którą same uwiły – przypominała trochę gniazdo, ale kto by się tam czepiał... Wiewiórki porozwieszały na gałązkach orzechy, sarny powtykały szyszki, sikorki obsypały drzewko owocami jarzębiny i czarnego bzu, które wyciągnęły z dziuplowej spiżarni, a wilki przyniosły ze wsi sople lodu i zamocowały je obok szyszek. Otoczyły choinkę i patrzyły jak zaczarowane. Widywały drzewka bardziej strojne – tak jak te, które obserwowały przez zamrożone okienka ludzkich domów, ale żadne nie dorównywały ich dziełu, ani trochę...

- A gdzie jest zając? – zahukała sowa, siadając na czubku drzewka.
- No właśnie, gdzie? – dopytywały się wiewiórki, kręcąc łebkami.
- Zaraz będziemy składać sobie świąteczne życzenia, a on jak zwykle gdzieś kica – narzekały sarny.
- Obawiam się, że nie przyjdzie – zaskrzeczała wrona, siadając na pniu obok choinki.
- Jak to? – wśród zwierząt rozległ się szmer niepokoju.
- A tak to, obraził się na święta, i tyle! – wrona zakłopotana potarła czubek dzioba.
- Obraził? Na święta? Za co? Za co? – dopytywały się gile.
- Nie tylko na święta. Na choinkę też się obraził – dodała wrona,

machając skrzydłami.

– Chyba wiem, co tu się święci – westchnęła sowa. – Chodźcie, musimy go odszukać, bo samotne święta są gorsze niż puste brzuchy w wigilijną noc.

– Chodźmy, chodźmy – zawtórowały jej zwierzaki i popędziły w stronę wsi.

A z nieba sypnęło świeżym puchem. Śnieżynki wirowały w szalonym tańcu, przepychając się i ciągle wpadając na siebie. Zając rozglądał się wokoło. Ani żywej duszy. Tylko biel aż po horyzont. Nawet gwiazdka się nie pokazała.

– No i dobrze – pomyślał ze złością, ale... wcale nie było mu dobrze.

Przypomniawszy sobie kwitnącą wiosnę i Wielkanoc, kiedy to czuł się taki ważny. Dzieci mówiły tylko o nim, rysowały go, lepiły z plasteliny, malowały na pisankach i na świątecznych kartkach. Czekwały na słodycze, które ukrywał dla nich w ogrodach lub domach. Był najważniejszy! A teraz? Wszyscy ciągle: choinka, i choinka! Że taka piękna, że pachnąca – ciągle się na nią patrzy! Dzieci już w ogóle o nim nie pamiętają, rysują albo wystrojone drzewko, albo Mikołaja z workiem prezentów. Nikt na zająca nie czeka, nikt nawet nie pomyśli, że jest mu przykro... Ech... z zajęczych oczek popłynęło kilka łez, które natychmiast zamieniły się w lodowe kulki. Skulił się w śniegowej zaspie i postanowił: nie, to nie! Nie chcą mnie w Wigilię, to zapomnę, że są jakieś tam święta. Wcale mi to niepotrzebne do szczęścia! I choć zaperzał się coraz mocniej, coraz bardziej było mu przykro...

Sowa leciała pierwsza. Jej oczy były przyzwyczajone do ciemności i w granatową noc umiała wypatrzeć nawet żuka. A szary zając na tle białego śniegu – to dla niej łatwizna. Gdyby jeszcze ten śnieg tak nie sypał! Co chwila musiała strząsać z łebka puchowy beret.

Nagle uśmiechnęła się pod dziobem. Mam cię, zazdrośniku – pomyślała z satysfakcją. Sfrunęła na wielką zaspę, z której wystawały końcówki szarych uszu.

– No wychodź z tej kryjówki – huknęła wesoło.

Zając ani drgnął.

– No dalej, jazda! Będiesz tu tkwił do wiosny, aż ze świątecznych choinek opadną igielki, a dzieci przypomną sobie o tobie? – dodała kpiąco.

W zaspie coś się poruszyło. Na sowę łypnęło jedno zajęcze oko, potem drugie. Za chwilę pokazały się wąsiska.

– Zazdrość nie jest dobrym doradcą. Psuje nawet najmiłszy dzień w roku tobie i tym, którym jesteś bliski. Nie warto trzymać jej w sercu, bo bardzo uwiera – sowa pokiwała łbem i dodała:

– Wyrzuć ją szybko z myśli, zrób miejsce dla nadziei i radości – od razu poczujesz się lepiej...

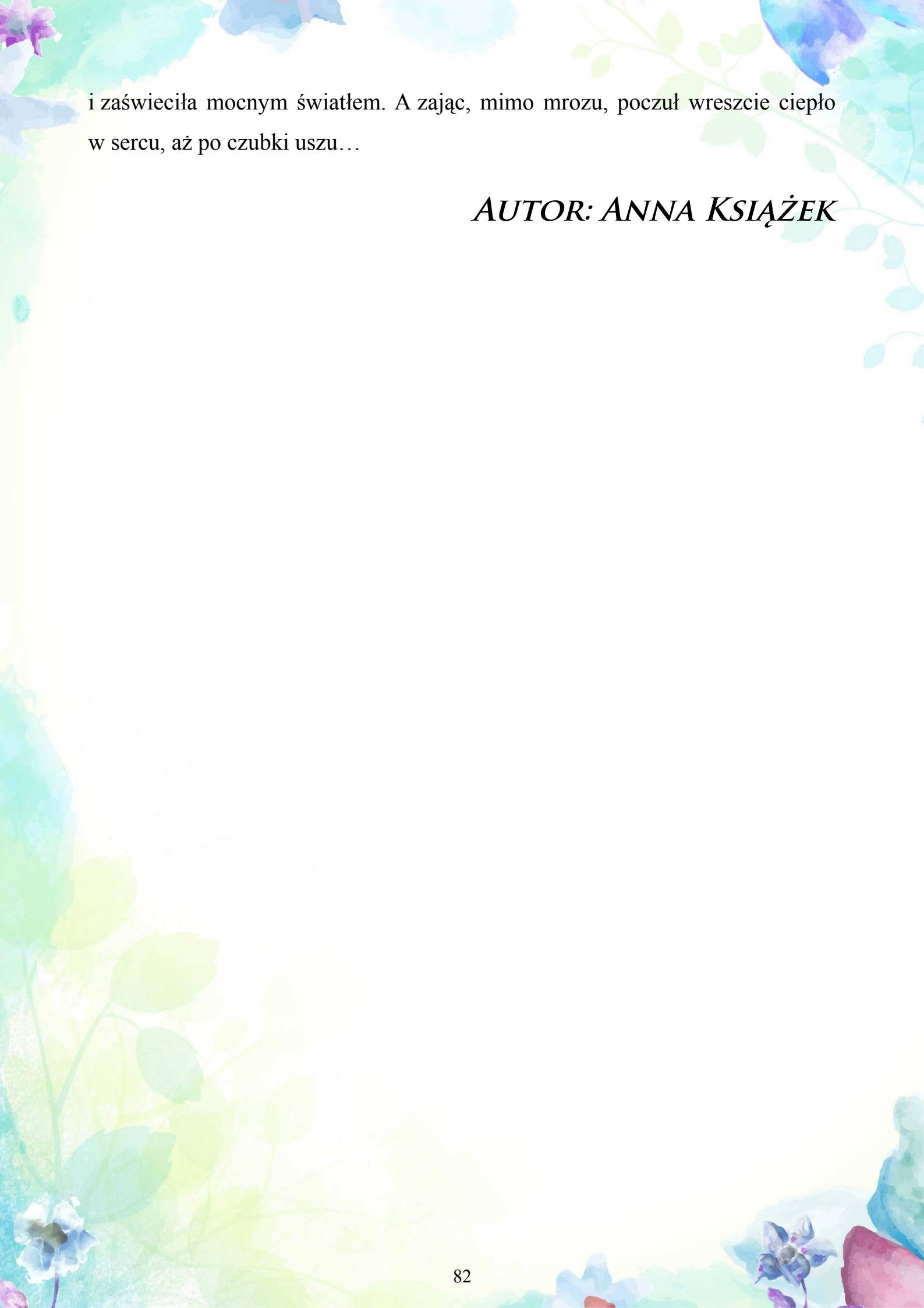
Zając wygramolił się ze śniegu. Spojrzał na uważnie na sowę. Ale w jego zajęczym sercu, choć tak bardzo płochliwym, odezwała się odwaga:

– Myślisz, że dzieci i tak mnie pamiętają? Że przez choinkę nie zapomną o mnie? – wyszeptał.

– Jestem tego pewna jak wiosny. Każdy ma swój czas. Teraz króluje zima i dzieci myślą o Mikołaju i o pierwszej gwiazdce. Choinka pozwala im poczuć magię tak jak tobie w czasie Wielkanocy. Oboje dajecie maluchom radość, nie mogą o was zapomnieć. No dobra, idziemy na polanę, koniec dąsów – zdecydowała sowa.

Odwrócili się w stronę lasu. Zbliżał się do nich zwierzęcy korowód. Sarny i jelenie popychały się w zasy, prychając wesoło. Nieco zaspane niedźwiedzie (wyszły z jaskiń tylko na tę jedną noc) tarzały się w śniegu, rozbryzgując śnieżynki. Wiewiórki obrzucały się białymi kulami, celując w rude kity; wrona, sikorki, wróble i gile próbowały choć raz w życiu być orłami – na śniegu to jest możliwe!

Zobaczywszy zająca, podbiegły do niego i zawołały: Jak dobrze, że jesteś, bez ciebie nie ma świąt! I wtedy przez chmury przebiła się pierwsza gwiazdka

A decorative watercolor border featuring various flowers and leaves in shades of blue, green, and purple, framing the text on the page.

i zaświeciła mocnym światłem. A zając, mimo mrozu, poczuł wreszcie ciepło w sercu, aż po czubki uszu...

AUTOR: ANNA KSIĄŻEK

„FRANEK I SZPITALNI PRZYJACIELE”

Przed Krecikiem i przed Smrekiem. Przed Kopciuszkiem i Star Treckiem. Przed Smerfami i Uszatkiem. Tam gdzie wciąż pogoda w kratkę, w paski bordo, w wielkie grochy, gdzie nie było złej macochy, zatrutego jabłka, strzały, w miejscu szczęścia, wiecznej chwały. Tam daleko, jak najdalej, tam gdzie blisko nie jest wcale. Gdzieś za tęczą, w stronę słońca, tam gdzie marzeń nie ma końca, gdzie strach z lękiem nie jest wadą...

Właśnie tam! Tak, w Eldorado – dnia każdego, o poranku, kiedy kogut pieje na ganku i gdy zegar głośno tyka, a księżycy blask zanika, zjawia się narzędzi sfora, prosto od Pana Doktora. Kłóć się, aż wszędzie słyszeć. Ale, o co? O chłopczyka?!

Bo bohater awantury – jak kto woli, konwersacji, ponoć stroni wręcz z natury, od poważnej operacji. Co dolega? Przepuklina, która przecież nie zachęca, ale to nie jego wina, że się boi brzuszka cięcia. Trwa dyskusja, trawa debata, wszyscy z sił padają. Ciężki orzech do zgryzienia, jednak myśleć nie przestają. Wnet przyborom chirurgicznym zapanował mętlik w głowie:

– Przyprowadźcie tutaj chłopca, niechaj sam mi to opowie! – orzekł Skalpel szef ekipy, co z ostrego słynie języka. Nikt mu nigdy nie odmawia i nikt przed nim też nie zmyka.

– Witam dziecko moje drogie, jakież imię twoje.

– Jestem Franek – szkrab niewielki i się Pana boję.

– Chłopcze, chłopcze powiedz proszę, skąd się wziął ten strach? Ja leciutko, bezboleśnie robię małe CIACH!

– Wszyscy mówią, że to boli, szczypie i jest blizna. Nawet kiedyś mój kolega się do tego przyznał.

– Jako Skalpel Król Chirurgii dużo już widziałem – jednych swędzi,

innych piecze, lub nie boli wcale. Jednak, co, by się nie działo, to dla Twego zdrówka! Przepuklina zniknąć musi...

– Brachu, brachu, spoko główka – odezwała się kropłówka – zadbam, byś podczas zabiegu dostał moc w postaci leków. Ja organizm twój napoję, bo to jest zadanie moje!

– A ja niby, to zbyteczny? – Welfron się oburzył. – Przecież, gdyby nie me wsparcie, kto by ci nim służył? Pod uwagę mnie nie wzięłaś, chyba się obrażę i interes zaraz zwinę z kolegą Bandażem!

– Dobra, niech tak pozostanie, zawsze wierny sługo. Obyś tylko nie zapeszył i pomagał długo! I już spokój, bo wciąż kraczesz, kraczesz jak ta wrona! – parsknęła mu Kropłówka wielce urażona.

– A jak będą komplikacje? – zapytał chłopiec nieśmiało.

– Jak coś będzie, to owacje i pyszne śniadanie! – wtrącił Plaster swe trzy grosze. – Tylko mnie nie zrywać proszę, gdyż okryję Twoją ranę póty, póki mi to dane!

– Jeśli mogę – krzyknął Bandaż – działam z Plastrem! Czyż, nieprawdaż?! Welfronowi rację przyznam, bo on mądrze prawi, wszyscy tylko kombinują jak Nas sprytnie spławić!

– Chcemy także coś nadmienić – przemówiły Szwy – gdyż atrakcja najfajniejsza, to akurat My!

– Dosyć tego moi mili! – przerwał Skalpel spory. – Trzeba pomóc chłopcy, bo jest bardzo chory! Nie na siłę, lecz pomału!

– Chciałbym wiedzieć proszę Pana, jak to jest w szpitalu? Ja słyszałem, że tam ciemno, zimno, strasznie szaro. Dla mnie pobyt w takim miejscu jest ogromną karą. Nie chcę rozstać się z mamusią, tatą i rodzeństwem, więc dlatego tak straszliwie przerażony jestem!

– Oj, młodzieńcze, co za bzdura! Skąd te bajki, skąd te ploty! Któż tak

wyobraźnią hula, opowiada te głupoty? Szpital, to magiczne miejsce, w którym cuda dzieją się; nikt nie cierpi, nikt nie płacze – uwierz mi, bo ja to wiem. Są tam panie pielęgniarki, bardzo miłe, opiekuńcze – odwiedzają cię co chwilę z nowym, świeżym opatrunkiem. Ogłaszają dobre wieści i czytają książki, a gdy lekarz im pozwoli, to przynoszą paczki...

– Oh, uwielbiam jeść słodczy! – oznajmił Franek wesoło. – Choć rodzice powtarzają, bym ich nie jadł sporo, ale tak kusząco pachną...

– Mają rację – Skalpel przytaknął – lecz wracając do pytania odnośnie szpitala, chciałem także ci powiedzieć, że w nim każda sala, pełna jest kolorów, gier planszowych, świateł i zabawek nowych. Na dodatek, także rzeknę, operacja, to nic złego! Chyba, że, to Ja wymięknę, pójdę precz z zabiegowego...

– E tam szefie, co ty pleciesz?! – Igła się wybiła. – Będzie dobrze, serio, serio! Tak mi się przyśniło! Takie rzeczy się zdarzają, toż to zwykłe szczie, a ten Skalpel, wręcz przysięgam, on ratuje życie!

Wnet narzędzia pożegnały swego towarzysza, krzycząc głośno na sam koniec, by chłopiec usłyszał:

– Biegnij Zuchu, pędź na salę, tam Pan Doktor czeka! Śmigaj szybko, bo Pan Doktor nie chce dalej zwlekać!

No i pognał kilkulatek z uśmiechem na twarzy, a w podziękowaniu przyjaciół nim obdarzył. Przywitał personel i położył się na łóżku, zamknął oczka, westchnął cicho, myśląc już o zdrowym brzuszku.

Zanim „Pan Uzdrawiacz” zaczął operować, wyszeptał chłopczykowi takie oto słowa:

– Teraz mój odważny brzdącu, chwilkę sobie podrzemiesz, lecz byś trochę się oswoił wysłę Znieczulenie. Ono bardzo ci pomoże, to mój dobry kompan. Szybko działa. Mówiąc szczerze? Jak powietrzna trąba! Później cię odwiedzą rodzice wraz z rodzeństwem, a zwalczenie Przepukliny, będzie twoim

zwycięstwem! Zresztą, przecież dobrze wiemy, że się wszystko uda, wszak pamiętaj Nasz pacjencie, trzeba wierzyć w cuda!

I narzędzia, jak przystało wzięły się do pracy. Wyskoczyły, czyste, lśniące wprost ze srebrnej tacy:

– Żwawo, żwawo, jednym susem, lotem błyskawicy! Nie ociągać się kompani, chłopiec na Nas liczy! Precyzyjnie i bez nerwów. Proszę o skupienie! ty Pęseta weź obserwuj. Opatrunek zejdź na ziemię! Igła, wykonaj fastrygę. Nie ma czasu. Prędko! Migiem! Działać czujnie i ostrożnie! Uważać na palce! – wydał rozkaz swym żołnierzom charakterny Skalpel.

Zamieszanie, chaos, wrzawa, każdy się wysila, coraz bliżej ku końcowi, jeszcze tylko chwila...Oczywiście operacja przebiegła udanie, a Franek jako pacjent zmienił natychmiast zdanie:

– Już nie boję się szpitala, lekarza i zabiegów. Pewnie wkrótce tym zachwycę koleżanki i kolegów. Oni zawsze pocieszali, gdy byłem we łzach – dzięki wsparciu i rozmowie pokonałem strach. A rodzina? Pęka z dumy, dosłownie wniebowzięta, no, bo przecież jak wspomniałem – się przestałem lękać! Teraz jestem zdrow jak ryba mając wielką uciechę, no i muszę właśnie czmychać – do dentysty śpieszę!

AUTOR: JULIA SURMAN

„SŁONIK GEBI”

Pewnego wietrznego dnia w dalekiej, zimnej krainie żyła bardzo uboga rodzina. Ojciec był drwalem, który w zamian za swą pracę dostawał drewno, aby móc palić w kominku i ogrzać swoją małą, rozpadającą się chałupkę. Matka zarabiała szyciem ubrań sąsiadów i sprzedawaniem kurzych jaj na targu. Niedawno w rodzinie pojawiła się nowa, malutka osobka – córeczka Mila. Swoim promiennym uśmiechem i wesołymi oczkami wynagradzała rodzicom trudy codziennego życia, choć każdego wieczora martwili się oni o to, czy będą mieli za co nakarmić ukochane dziecko.

Pewnego razu w okolicy pojawił się przejezdny cyrk. Całe miasteczko z zaciekawieniem oglądało przeróżne zwierzęta – były tam małpki, żyrafy, hipopotam, wielkie żółwie, a nawet tygrys! Nikt jednak zdawał się nawet nie zauważać małego słoniątka z krzywymi nóżkami i smutnym wzrokiem, spoglądającego obojętnie na przechodniów. Dopiero chłopiec trzymający babcię za rękę krzyknął:

– Patrzcie na tę pokrakę – co to za dziwaczny słoń!

Ludzie zbiegli się tłumnie i naśmiewali z zziębniętego zwierzątka.

– Cóż to za krzywe łapy! Jaki szkaradny!

– Co to za stwór! – krzyczeli.

Słonik spuścił oczy i wtulił się w kąt swojej klatki. Zastanawiał się dlaczego wyrzucono z cyrku jego chorą mamę, przecież z nią byłoby mu raźniej! Pobyt w chłodnej krainie upłynął mu na szyderstwach i wytykaniu palcami.

Nadszedł jednak kolejny dzień. Nikt nie spodziewał się wichury, jaka rozpętała się w jego południe. Niebo pociemniało, zmarznięte drzewa trzaskały pod wpływem gwałtownym podmuchów wiatru, śnieg leżący na ulicy wirował

w powietrzu, powodując zamieć utrudniającą widzenie. Klatki ze zwierzętami przewracały się, raniąc ukryte w nich i przerażone istoty. Namiot, w którym odbywały się przedstawienia, runął z hukiem.

– Ruszajmy najszybciej jak się da! – krzyczał dyrektor cyrku, nakazując natychmiastową ucieczkę z miasteczka.

W pośpiechu załadowano wozy i czym prędzej pognano na zachód. Nikt nie zorientował się, że przeoczono jedną klatkę do połowy przysypaną śniegiem... Spod warstwy białego puchu wystawało duże, niezgrabne uszko. To wyśmiany słonik pozostał sam na wielkim, lodowatym pustkowiu.

W tym czasie z lasu wracał ubogi drwal. Nie zdążył narąbać wystarczającej ilości drewna przed nadejściem wichury i marszcząc ze zmartwienia czoło próbował założyć na skostniałe dłonie rękawiczki. Wtem na swojej drodze zauważył przewróconą klatkę. Zupełnie zaskoczony spostrzegł, że coś w niej jest – jakby wielkie ucho... Ostrożnie podszedł bliżej znaleziska. Zmęczony oparł się o kraty, gdy nagle usłyszał cichy pomruk pochodzący spod śnieżnej zasy. Już był pewien, że coś tam jest, i co najważniejsze, wciąż żyje!

Dobry człowiek natychmiast wydobył piłę i przeciął grube kraty. Słonik podskoczył z przerażenia, ale był tak zmarznięty i głodny, że nie miał siły się bronić. Nie wiedział jeszcze, że ten człowiek, który wtargnął do jego klatki, chciał uratować mu życie! Drwal usadowił małe zwierzę na saniach i pognął do chaty ile sił w nogach. Wichura porwała mu czapkę, śnieg uderzał w oczy, ale nie zatrzymał się, dopóki nie dotarł pod drzwi chałupy. Już od wejścia krzyczał:

- Żono, nagotuj wody, musimy uratować słonia!
- Słonia?! – zdziwiła się żona, lecz gdy ujrzała znalezisko męża, nakazała:
- Połóż go na kocu obok kominka. Przyniosę ciepłej wody, by zrobić okłady, a ty natychmiast daj mu koniecznie coś do jedzenia.

Jak kazała, tak zrobili. Mały słonik dochodził do siebie, patrząc z niedowierzaniem na swoich wybawców.

– Kim oni są? Ani razu nie nazwali mnie pokraką ani dziwakiem... Kim są? – myślał.

Był jednak tak zmęczony, że szybko zasnął. Gdy otworzył oczy, rodzina krzątała się przy stole, zgarniając okruchy ze śniadania do małej miseczki. Kiedy pani domu spostrzegła, że zwierzę już nie śpi, przyniosła mu ją i powiedziała:

– Jedz i odpoczywaj, darze niebios.

„Darze niebios”? Czy oni nie wiedzą, że jestem zwykłym słoniem? – zastanawiało się zwierzę. Nie wiedział bowiem, że dla dobrych ludzi nie jest pokraczną cyrkową atrakcją, a zwierzęciem, które czuje i które należy szanować.

W atmosferze pełnej miłości i uprzejmości słonik szybko dochodził do siebie. Rodzina nadała mu imię Gebi. Gdy stanął na nogi, wszyscy cieszyli się, że udało się uratować zwierzątko. A najbardziej zadowolona była mała Mili. Gdy tylko mogła przytulała się do słonika i owijała jego wielkimi uszami. Uwielbiała je.

– Kocham cię, Gebi! – szeptała mu na dobranoc.

Mimo głodu panującego w domostwie, słonik szybko rósł. Dzięki Mili uwierzył również, że nie jest brzydką pokraką ani śmiesznym stworem. Jego uszy przestały być już nieproporcjonalnie wielkie, ponieważ stał się potężnym słoniem.

Pewnej zimy nadszedł najtrudniejszy czas w całej historii zimnej krainy. Mróz zniszczył rośliny, zwierzęta domowe rozchorowały się, mężczyźni wracali z polowań z pustymi rękami... W miasteczku panował smutek i ogromny głód. Jednego wieczoru wędrowiec zapukał do drzwi rodziny drwala. Był tak zmarznięty, że ledwo wydusił z siebie prośbę:

– Czy pozwolicie, bym ogrzał się przy waszym kominku?

Choć brakowało już drewna, którym w nim palono, szwaczka posadziła gościa przy dogasającym ogniu, zaparzyła herbaty i poczęstowała nią obcego człowieka.

– Dziękuję, dobrzy ludzie! Pamiętajcie, że każde uczynione dobro do was wróci – rzekł obdarty mężczyzna.

Po chwili dodał:

– W lesie nieopodal widziałem dziki. Jeśli chcesz, drwału, zaprowadzę cię tam. Może zdobędziesz pożywienie dla swojej rodziny.

Gdy strudzony wędrowiec zagrzał się i odpoczął, pokazał drwałowi miejsce, w którym widział zwierzynę, po czym udał się w dalszą drogę. Jako, że zapadał zmrok, drwał postanowił udać się we wskazane miejsce o świcie. Rankiem, kiedy niewyraźne promienie słońca zagładnęły do chałupy, drwał wybrał się w drogę. Słownik chciał udać się do lasu z nim, ale mężczyzna stanowczo tego zakazał:

– To zbyt niebezpieczne, a Mila tak bardzo cię kocha, że pękłoby jej serce, gdyby ci się coś stało.

Ojciec rodziny długo krążył po lesie w poszukiwaniu zwierzyny, ale na próżno. Nagle natknął się na martwego dzika. Schylił się, by sprawdzić, czy zwierzę zostało postrzelone i ujrzał straszliwe rany na jego szyi. Wtem usłyszał dziwne wycie. Obejrzał się dookoła.

– To wilki! – pomyślał przerażony.

Miał rację. Gdy podniósł wzrok, był już otoczony. Wygłodniałe wilki szybko zbliżały się do drwała. Niemal wszystkie na raz rzuciły się na niego, szarpiąc ubranie. Rozpętała się prawdziwa walka. Nagle kreatury puściły człowieka i uciekły, skomląc i zawodząc żałośnie. Poraniony mężczyzna otworzył oczy i ujrzał Gebiego. Nie był pewien czy to jawa, czy sen.

Słonik zarzucił drwała na swój potężny grzbiet i pobiegł do domu. Żona przeczuwała, że stało się coś złego, gdy tylko ujrzała, jak Gebi gna w stronę lasu, dlatego trzęsąca się z nerwów czekała na męża przed chałupą. Z daleka zobaczyła nadbiegającego słonia. Czym prędzej zdjęła rannego drwała z grzbietu zwierzęcia i wygodnie ułożyła w łóżku. Nawet nie zauważyła, że Gebi na chwilę zniknął. Zmartwiona, opatrzyła mężowi rany, czuwała przy nim dzień i noc, bez wytchnienia opiekując się zranionym. Po dwóch dniach drwał stanął na nogi. Chciał wydusić z siebie radość, że żyje, ale słowa ugrzęzły mu w gardle, a kiedy spojrzał na słonia, z oczu popłynęły mu rzęśiste łzy. Gdy doszedł do siebie, szepnął:

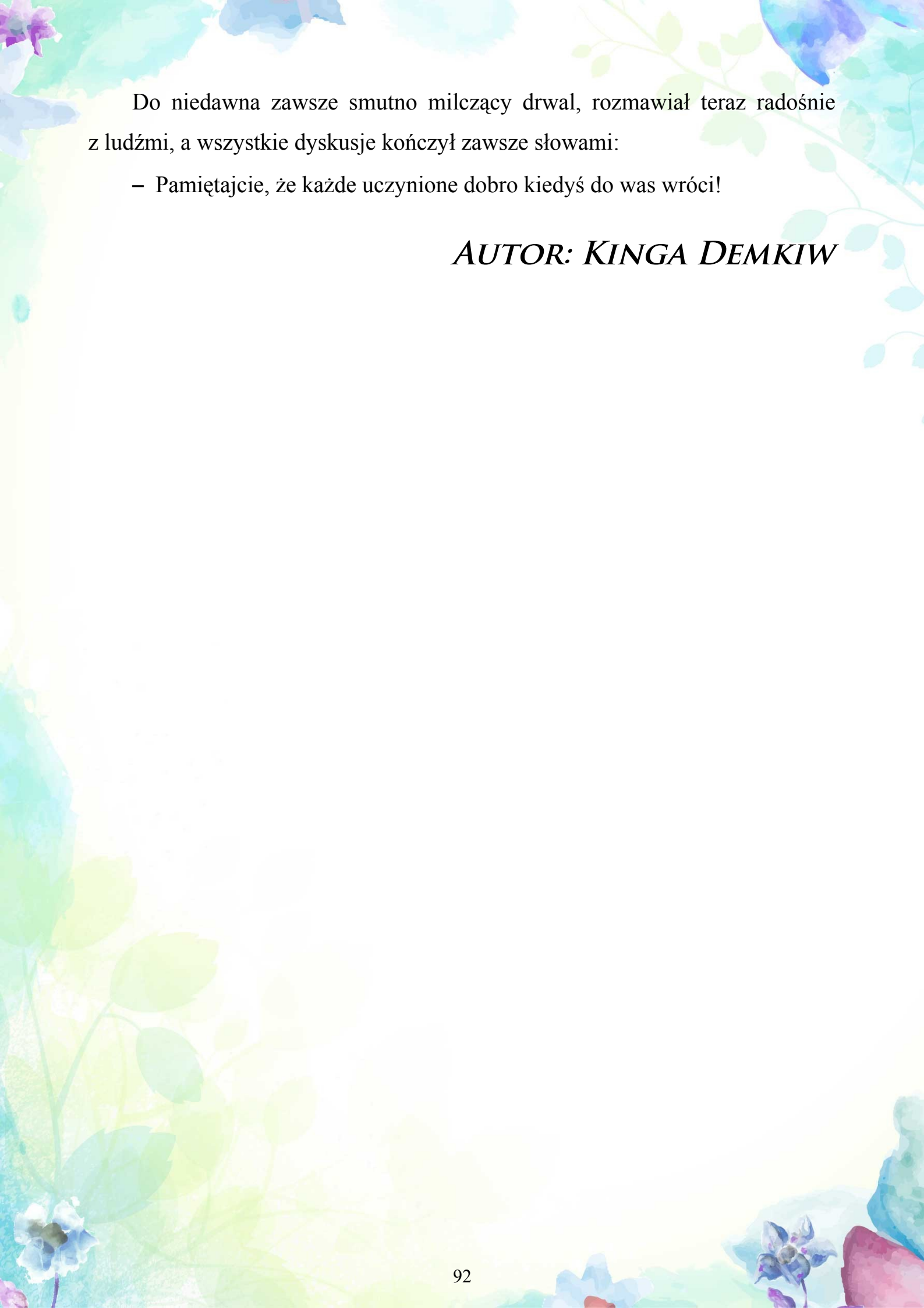
– Droga żono, nie mamy co jeść, muszę jak najszybciej wyruszyć na polowanie...

– Nie martw się niczym, mężu. Jakiś anioł zesłał nam mięso pod same drzwi! Zaniósłam je do spiżarni. Mamy zapasów na kilka miesięcy! – odparła promieniejąca ze szczęścia szwaczka.

Drwał, nie dowierzając temu, co usłyszał, pobiegł do spiżarni. W drodze pomyślał, że jego żona widocznie z głodu traci już zmysły. Gdy jednak wszedł do pomieszczenia, stanął jak wryty. Leżał tam bowiem olbrzymi dzik. Ten sam, którego znalazł w lesie! Drwał od razu zrozumiał co się stało. To słonik, przyniósłszy tego feralnego dnia nieprzytomnego mężczyznę do domu, wrócił do lasu po pożywienie dla rodziny.

– Może w ten sposób odwdzięczę się za dobro i miłość, które otrzymałem od moich wybawców – myślało wtedy zwierzę.

Niedługo po tym wydarzeniu w miasteczku nadeszły lepsze czasy. Mieszkańcom nie brakowało jedzenia ani drewna do kominków, a wszyscy ludzie mieli pracę, dzięki której zarabiali na utrzymanie domów. Nie tylko to się zmieniło.

A decorative watercolor border featuring various flowers and leaves in shades of blue, green, and purple, framing the text on the page.

Do niedawna zawsze smutno milczący drwał, rozmawiał teraz radośnie z ludźmi, a wszystkie dyskusje kończył zawsze słowami:

– Pamiętajcie, że każde uczynione dobro kiedyś do was wróci!

AUTOR: KINGA DEMKIW

„O KSIĘCIU BARTKU I PIĘKNEJ KRÓLEWNIE MALWINIE”

Może sto lat temu, a może ze dwieście,
W dalekim królestwie, w pewnym pięknym mieście,
Żył w królewskim zamku, z królewską rodziną
Książę Bartek Gruby, co z obżarstwa słynął.

Przenieśmy się zatem na królewski zamek
I cichutko wejdźmy po schodach na ganek.
Stamtąd, jak to w bajce, gdy nikt nas nie widzi,
Sprawdźmy, czy nasz książę łakomstwa się wstydzi.

Nocą, kiedy Bartek śpi w książęcym łożu,
Rybacy noc całą łowią śledzie w morzu,
By rankiem, gdy książę bardzo głodny wstanie,
Podano mu śledzie z cebulką w śmietanie.

Od samego rana królewscy kucharze
Gotują posiłki w wielkim srebrnym garze.
Kuchmistrz, Rajmund Smaczny, smaży frytki, pączki,
Ubija śmietanę i rozlewa soczki.

Pokojówka, Zosia, szykuje miseczki
I kubki kakao i słodkie bułeczki,
A wszystko na tacy szczerozłotej wnosi,
Bo podać śniadanie to zadanie Zosi.

Bartek ziewa głośno. Głodny jest od rana!
Zjadł właśnie trzy pączki, frytki, pół banana,
Bułeczki z twarogiem i śledzie w śmietanie,
Naleśniki z dżemem też zjadł na śniadanie!

Tato król z rozpaczą na synka spogląda:
– Nie jedz tyle, Bartku, bo brzydko wyglądasz!
Brzuszek masz pękaty i ciasne ubranie.
Musisz schudnąć trochę, nim królem zostaniesz!

I mama królowa martwi się o syna:
– To niezdrowo, Bartku, tak bez przerwy wcinać!
Zamiast jeść i leżeć na książęcym łożu,
Wybierz się na spacer lub popływaj w morzu!

Bartek tylko głową kiwa na znak zgody,
Lecz gdy sam zostaje – każe podać lody,
Ciasto budyniowe i owoce z sadu.
– Jakoś – myśli sobie – dotrwam do obiadu.

A w królewskiej kuchni już pachną kurczaki.
Kuchmistrz piecze pizzę, gotuje ziemniaki,
Kuchcik miesza zupę i soli kotlety,
Pokojówka Zosia doprawia pulpety.

Tymczasem przed zamek, po zwodzonym moście,
Zajeżdża karoca, a w niej ważni goście:
Przyjechał król Mądry z córką swą, Malwiną,

Z krainy, gdzie ludzie z roztropności słyną.
Królowna Malwina zwiedza zamek cały:
Ogląda krużganki i obronne wały,
Pokoje królewskie i sale balowe,
A wszystko przepiękne, kosztowne i nowe.

Na koniec trafiła w pobliże komnaty,
Dokąd służba niosła mięsa i sałaty.
Cichutko podchodzi – ciekawość ją wiedzie,
Zerka: a tam Bartek siedzi przy obiedzie!

Na stole się piętrzą soczyste kotlety,
Pachnie kawa, ciasto, lśnią białe serwety.
Królowna: „Dzień dobry” grzecznie powiedziała
I swą śliczną rączkę Bartkowi podała.

A Bartek jeść przestał, tak był zachwycony,
Pomyślał: „Czas wreszcie, by poszukać żony!
Właśnie taka piękna, właśnie taka miła
Bardzo pragnę, aby moja żona była”.

– Moja cud królowno, zaraz cię ugoszczę,
Są tu pyszne ciastka, kawa z pianką – proszę.
A gdy mnie pokochasz, urządzę wesele,
Będzie wielu gości i prezentów wiele!
Tato król pół zamku dać chce młodej parze,
Sto skrzyń pełnych złota – wszystko dla nas w darze.
A mama królowa zastawę stołową

Na pięciuset gości! Bardzo piękną, nową!
Dziewczę spuszcza oczy, uśmiecha się mile:
– Bartku, pięknie mówisz, lecz posłuchaj chwilę:
Nie chcę mieć żarłoka za męża i basta!
Ja kocham spacerować i nie lubię ciasta.

Mowy nie ma, Bartku, o słodkim deserze.
Mój mąż będzie ze mną jeździł na rowerze,
Będzie pływał w morzu i przestrzegał diety,
A nie przez dzień cały jadł tłuste kotlety!

Księżę poczerwieniał. Wstydzi się ogromnie,
Bo ma ciasny sweter i za ciasne spodnie!
– Co mam zrobić, powiedz, by ładnie wyglądać?
Spełnię każdą prośbę! Mów więc, czego żądasz?

– Mogę być twą żoną – królewna odpowie –
Gdy zmienisz złą dietę i zadbasz o zdrowie.
Będziesz ze mną chodził na długie wędrówki,
Rzucisz lody, frytki, pączki i kremówki.

Od dziś kuchmistrz Rajmund gotować ci zacznie
Zdrowo i niedużo, dietetycznie, smacznie.
Do tego spacerować, bieganie po plaży,
Schudniesz bardzo szybko, gdy o tym zamarzysz!

Bartek westchnął cicho: Ja zdania nie zmienię!
Schudnę i z Malwiną w końcu się ożenię!

Jak powiedział, zrobił. Zmienił złe nawyki,
Jadł, gdy bardzo zgłodniał, ćwiczył w takt muzyki.

Kuchmistrz, Rajmund Smaczny, szykuje surówki:
Marchew, pory, seler, sałaty ćwierć główki
Na malutkie cząstki skubie, trze i sieka,
A Bartek już na nie niecierpliwie czeka.

Schudł trzydzieści kilo, a może i więcej!
– O, jaki przystojny! Weźmy ślub czym prędzej!
Malwina z radością – Brawo! Brawo! – woła.
– Będzie ze mnie bardzo szczęśliwa królowa!

Tato król ogłosił więc z zamkowej wieży
Turniej dla odważnych i dzielnych rycerzy,
Aby godnie uczcić bliskie zaślubiny
Przystojnego Bartka i mądrej Malwiny.

Na wesele gości przybyło bez liku.
Rozstawiono w sadzie trzy setki stolików,
A na każdym kwiaty i jadła niemało.
Muzycy do tańca przygrywali śmiało.

Na szczęście stłuczono sto białych talerzy,
Sto razy na wiwat strzelano na wieży
I stu lat życzone w zdrowiu i bez waśni,
A pamięć o Bartku do dziś żyje w baśni.

AUTOR: IZABELA SAGASZ

„O MOLU JULKU I LAWENDZIE”

Nieopodal głównej drogi, bardziej na południu, niż na północy kraju stał i zapewne stoi dalej drewniany dom. Jak większość drewnianych domów miał dość małe okna, spadzisty dach i werandę z okazałym bujanym fotelem. Fotel ów należał do pani Franciszki. Spoczywała na nim głównie wieczorami, po dniach pełnych pracy, upajając się widokiem ogrodu. A był to ogród szczególny i bardzo różnorodny. Znajdowały się w nim zarówno warzywa, owoce, wszelkie przyprawy, zioła, jak i ogromna ilość kwiatów. W sezonie letnim i wiosennym odurzał zapachem, jesienią zachwycił gamą kolorów, a zimą stwarzał przestrzeń niczym z bajki.

Najbardziej niezwykłym zakątkiem całego domostwa było jednak poddasze. Zamieszkiwało je bowiem całkiem doborowe grono, do którego należeli: nietoperz Wacław, pająk Aleksander z żoną Wandeczką, myszki Janinka i Lucynka, szczur Teodor oraz mól Julek. Dość często gościła na nim również sowa Wiesława. Był właśnie środek lata. Upały przeplatały się z ulewnymi deszczami. Na poddaszu panował błogi spokój. Nikomu nie brakowało pożywienia i nikt nie musiał jeszcze myśleć o pracach związanych z magazynowaniem zapasów na okres zimy.

Jedynie mól Julek jakoś nie potrafił cieszyć się dobrym czasem. A był to mól inny niż inne mole. Zamiast zajadać się książkami, czytywał je z niezwykłym oddaniem. Właśnie zakończył studiować atlas roślin i zapragnął ujrzeć na własne oczy pola lawendy. Tak się bowiem złożyło, że akurat ta roślinka nie rosła w ogrodzie pani Franciszki. Julek postanowił wyruszyć do Prowansji i to możliwie jak najszybciej, gdyż wyczytał, że lawenda występuje tam w największej ilości i właśnie kwitnie.

Na próżno przyjaciele próbowali go zniechęcić do dalekiej i niebezpiecznej podróży. Nie pomogły nawet wykłady sowy Wiesławy na temat szkodliwych

oddziaływań lawendy na mole. Nie mając innego pomysłu na zniechęcenie przyjaciela do wyprawy, szczur Teodor postanowił przeprowadzić eksperyment. Przypomniawszy sobie, że pani Franciszka posiada w garderobie woreczek suszonej lawendy. Wtajemniczył myszkę Janinkę i Lucynkę w swój plan i wspólnymi siłami przenieśli pod osłoną nocy ważny dla sprawy pakunek, który ukryli w pobliżu legowiska Julka.

Nazajutrz z rana Julek obudził się w bardzo słabej formie. Cierpiał na zawroty głowy i napady suchego kaszlu. Pomyślał, że być może to alergia na kurz, ale wszyscy mieszkańcy poddasza uświadomili go, co jest bezpośrednią przyczyną jego dolegliwości i jak w związku z tym mogłaby zakończyć się jego wyprawa w miejsce, gdzie lawenda występuje w dużo większej ilości i z dużo większą intensywnością wydziela zapach. Woreczek z suszoną lawendą został natychmiast odtransportowany na swoje miejsce, poddasze poddane wietrzeniu, choć pozostałym mieszkańcom poddasza bardzo odpowiadał ów zapach.

Wszyscy powrócili do swoich spraw, gratulując Teodorowi przedsięwzięcia i myśląc, że życie będzie się toczyć, jak dotychczas. Julka opuścił kaszel i zawroty głowy, ale niestety nie opuściło pragnienie ujrzenia lawendy. Z każdym dniem coraz mniej się uśmiechał, unikał wspólnych spotkań. Nie mógł pogodzić się z faktem, że nigdy nie będzie mu dane spełnić swego marzenia.

– Julku, wyjdź z nami na spacer! – zachęcali go przyjaciele, ale Julek zamykał się z każdym dniem w sobie, aż pewnego wieczoru zapytał:

– Sowo, jak to się dzieje, że ludzie niejednokrotnie stykają się z substancjami, które są dla nich szkodliwe i nie doświadczają ubytków na zdrowiu?

Sowa Wiesława poczuła się bardzo ważna, że to właśnie do niej skierował pytanie i oświadczyła z nieukrywaną dumą, gdyż znała na nie odpowiedź:

– Juleczku, ludzie mają dostęp do różnych przedmiotów, które ich chronią
– najczęściej stosują maski, na przykład z tlenem. Zakładają je w trakcie wykonywania czynności, które mogą okazać się dla nich niebezpieczne.

– Aha – Julek natychmiast się ożywił – a czy mogłabyś pomóc mi zdobyć taką maskę?

– Nie bądź namolny Julku – wtrącił się z nieukrywaną irytacją w głosie nietoperz Wacław – przekonałeś się, że lawenda źle na ciebie działa, a mimo wszystko upierasz się, aby postawić na swoim i wyruszyć na jej poszukiwanie za wszelką cenę!

– Owszem, nie mogę sobie pozwolić na upajanie się jej zapachem, ale mogę dążyć do tego, aby ujrzeć ją w całej okazałości na plantacjach. Zrobię wszystko, co w mojej mocy, aby to osiągnąć, a wy jeśli nie chcecie mi w tym pomóc, to przynajmniej nie przeszkadzajcie!

Obrażony, w tym momencie już na wszystkich Julek trzasnął okiennicą i wyfrunął do ogrodu, aby zebrać myśli. W tym czasie przyjaciele, a byli to naprawdę prawdziwi przyjaciele, czyli tacy, na których zawsze można liczyć, postanowili pomóc Julkowi w realizacji tego nietypowego, jak na mola marzenia i od razu przystąpili do działania.

Myszki Grażynka i Lucynka wspólnie z pajakiem Aleksandrem i jego żoną Wandeczką utkali i wydziergali miniaturową maskę z zapasem tlenu. Była to prawdziwie misterna robota składająca się z najmocniejszej pajęczej sieci z dodatkiem lnu. Sowa Wiesława i nietoperz Wacław zorganizowali natomiast przelot. Dzięki ich interwencji gołąb Antek zarezerwował dla Julka najmniejszą kieszonkę w swoim podróżnym plecaku, choć początkowo bardzo się wzbraniał, słyszał bowiem z umiłowania do samotnych wypraw. Wyznaczył datę wylotu na dzień następny i nim Julek zdołał ochłonąć po wrażeniu, jakie zrobiła na nim niespodzianka przyjaciół, już szybował do źródła swojej kilkutygodniowej tęsknoty. Lot minął bez przygód, a zakończyła go głośna

komenda gołębia Antka.

– Julek, zakładaj maskę! Dotarliśmy do celu, wyskakuj! Ja lecę załatwić swoje sprawy i będę za dwie godziny.

Oszołomiony Julek założył maskę i energicznie sfrunął na najbliższe drzewo, aby nacieszyć się widokiem lawendy z odpowiedniej perspektywy. Widok, który roztoczył się przed nim był prawdziwie niezwykły. Na początku siedział, niczym w transie, a potem zaczął spacerować pośród krzewinek, nie mogąc uwierzyć, że udało mu się zrealizować swoje marzenie i że ma takich cudownych przyjaciół, bez których wyprawa nie miałaby szans zakończyć się powodzeniem. Po powrocie, Julek wyprawił wspaniałe przyjęcie na ich cześć z dużą ilością egzotycznych przysmaków, pochodzących z Prowansji. Z wyprawy przywiózł do domu coś jeszcze... nasiona lawendy, która to od tego roku obficie rozrasta się w ogrodzie pani Franciszki. Sam Julek dość często ją dogląda, oczywiście zawsze ze swoją unikatową maseczką, pamiętając, aby nie zabrakło w niej świeżego tlenu.

AUTOR: MAŁGORZATA PAZIK

„ŁATEK I ZAPRACOWANE MIASTO”

W pewnym mieście, może nawet nie tak daleko, jak by się mogło wydawać, mieszkali poważni ludzie. Nie dość, że poważni, to jeszcze bardzo, ale to bardzo zapracowani. Całe dnie byli pochłonięci ważnymi, dorosłymi sprawami. Od rana do wieczora zarabiali pieniądze, robili zakupy, wstukiwali coś w komputery, rozmawiali przez telefony o arcyważnych rzeczach. Wielkimi i drogimi samochodami jeździli do pracy, wracali z pracy, no i zawsze byli niezwykle zmęczeni. Byli tak zmęczeni, że nie mieli już sił na rozmowę, zabawę, wpatrywanie się w sufit, czy choćby w gwiazdy.

Dlatego też każdego wieczora po obfitej kolacji doszczętnie wyczerpani i pozbawieni sił kładli się do łóżek, by wreszcie zasnąć. Ale i we śnie tylko pracowali i pracowali, co niezmiernie dziwiło pewnego mieszkańca tego miasteczka, jedyne psa w okolicy zwanego Łatkiem. Ów psiak nazywał tak zapewne dlatego, że jego białe psie ciało pokryte było plamkami we wszystkich możliwych odcieniach brązu. Był to wielki lekkoduch i darmozjad. Całymi dniami zajmował się niezrozumiałym dla mieszkańców nicnierobieniem, na które nie mógł sobie pozwolić żaden obywatel owego miasta. Łatek zaś a to spał, a to drapał się za uchem, a to leniwie wygrzewał się na słońcu lub bezskutecznie próbował łapać muchy latające tuż przy jego nosie. Jednak największe szkody wyczyniał wieczorami. Gdy tylko spostrzegł kogoś wielce zapracowanego wracającego z pracy do domu, podnosił się, skakał, radośnie merdał ogonem i kręcił się wokół własnej osi. Jednak przechodzący zazwyczaj zbywali go mówiąc:

- Daj spokój!
- Jestem zmęczony. Muszę odpocząć.
- Mam dużo pracy.

Pies jednak nie dawał za wygraną. Uparcie wierzył, że uda mu się sprowokować chociaż jednego mieszkańca Zapracowanego Miasta do zabawy. Biegł więc za zatopionym swoich ważnych myślach człowiekiem i wszczynał radosne poszczekiwanie, a czasami to nawet szarpał za rękaw lub nogawkę gnającego w pośpiechu poważnego jegomościa. Najczęściej jednak spotykało go to, co spotyka wszystkie małe pieski, gdy ludzie pochłonięci są ważnymi sprawami. Zamykano Łatka w garażu. To jednak nie gwarantowało unieszkodliwienia rozbrykanego psiaka. Łatek bowiem odcięty od towarzystwa zaczynał uporczywie szczekać, a nawet wyć niczym wilk z najczarniejszego lasu. Nie ma się co dziwić, że pewnego razu mieszkańcy Zapracowanego Miasta mieli już dość tych nocnych hałasów. Poważne Zgromadzenie dekretem o numerze 111298 ustanowiło, co następuje:

My Poważni i Szacowni Mieszkańcy Zapracowanego Miasta w trosce o wysokiej jakości efekty naszej pracy z dniem dzisiejszym wydajemy Łatkowi całkowity zakaz szczekania. W przeciwnym razie zostanie on usunięty z naszej poważnej społeczności.

Podpisano

Wielce Poważni i Szacowni Mieszkańcy Miasta

Cóż było robić? Łatek nie chciał sprawiać przykrości mieszkańcom, zdążył ich bowiem pokochać całym swoim wiernym psim sercem. Wyrzekł się więc szczekania raz na zawsze. Od tej pory w miasteczku zapanował Święty Spokój i Poważne Skupienie, tak potrzebne do pracy i snu zapracowanych mieszkańców.

A co z Łatką? No cóż, zrozumiał, że ludzie z miasteczka są naprawdę zbyt poważni i zapracowani, by spędzać z nim popołudnia na spacerach,

gonitwach, zabawach czy głaskaniu. Wprawdzie jak dawniej wylegiwał się na trawie, ale nie przybiegał już na widok wracających z pracy mieszkańców, nie merdał ogonkiem, a tym bardziej nie szczekał. A gdy biegał, starał się to czynić niemal bezszelestnie, wszystko po to, by nie zakłócać spokoju mieszkańców. Czasami tylko wieczorami z tęsknotą za czymś, czego sam już nie potrafił określić, wpatrywał się w gwiazdy lub podziwiał księżyc nisko zawieszony nad uśpionym miastem.

Pewnej nocy zdarzyło się jednak coś nieoczekiwanego. Pies jak co wieczór wyszedł na samotny spacer, położył się na trawie i ukradkiem spojrzał w niebo (robił to zresztą coraz rzadziej). Zobaczył spadającą gwiazdę. Chciał pomyśleć życzenie, jak to czynił w przeszłości, ale po co? Przecież to takie dziecinne...

Nagle usłyszał dziwne odgłosy zbliżających się kroków. Nadstawił ucha, wyteżył węch. Do bram miasta zbliżali się jacyś obcy, o nieznanym mu zapachu. Ich miny były groźne, a w rękach trzymali ostre narzędzia. Na plecach targali wielkie worki. Pies domyślił się, że nie przychodzą do miasta w pokojowych zamiarach. Nie zastanawiając się ani chwili, postanowił zaalarmować mieszkańców o zbliżającym się niebezpieczeństwie. Bez wahania zaczął szczekać i wyć, jak najgłośniej potrafił. Wkrótce postawił na nogi całe Zapracowane Miasteczko. Złodzieje zdążyli w tym czasie czmychnąć. Natomiast nic niepodejrzewający mieszkańcy, bardzo zawiedzeni oburzającym zachowaniem psa zebrali się, by osądzić Łatka za złamanie zakazu. Zgromadzenie Wielce Poważnych i Szacownych orzekło, że w zaistniałej sytuacji pies musi niezwłocznie opuścić miasto, co też Łatek z ciężkim sercem uczynił. Czy żałował tego, że złamał zakaz? A skądże! Przecież obronił miasto. Obronił tych, których kochał. To było dla niego najważniejsze.

Zaś mieszkańcy miasteczka o tym, że pies okazał się bohaterem mieli przekonać się wkrótce po jego odejściu, kiedy to schwytani na gorącym uczynku w sąsiedniej miejscowości złodzieje, zapytani, dlaczego nie

obrabowali Miasta Zapracowanych, które znajdowało się po drodze, wyznali, że wystraszył ich jakiś ujadający pies. Gdy Poważne Zgromadzenie Zapracowanego Miasta dowiedziało się o wszystkim, wydało dekret uniewinniający Łatka i nakazało każdemu mieszkańcowi szukać psa-bohatera, który ocalił miasto. Ale to nie dekret zmienił ludzkie serca. Mieszkańcy sami zrozumieli, co uczynił dla nich ten cudowny pies i z ochotą zaczęli go szukać. Zaczęli też w końcu ze sobą rozmawiać. Najpierw pytali się, czy ktoś nie widział Łatka, potem wspominali jego psikusy. Opowiadali dzieciom legendy o dzielnym psie, który uratował miasto kosztem własnego szczęścia. Z czasem zaczęli rozmawiać także o słońcu, niebie, kwiatkach, gwiazdach na nawet i o tym co, czują, co myślą, czego pragną. Niektórzy sprawili sobie psa i w mieście słychać było radosne poszczekiwanie po domach. Zaś wieczorami ulice wypełniały się zadowolonymi i odprężonymi mieszkańcami, wyprowadzającymi na spacer swoich podopiecznych czworonogów. Czasami siadywali oni na opustoszałych do tej pory ławeczkach w parku i wpatrywali się w niebo, a gdy spadała gwiazda, wypowiadali życzenia, bowiem dzięki Łatkowi w końcu znaleźli czas na to, by marzyć.

A co stało się z samym Łatką? Podobno zaprzyjaźnił się z małym chłopcem, z którym odbył daleką podróż na kraniec kosmosu. Jeśli kiedyś nocą spojrzysz w niebo, może wśród gwiazd zobaczysz dzielnego wesołego pieska, machającego do Ciebie ogonkiem.

AUTOR: IWONA ZDUNIAK

EACTIVE
wiemy jak



copyright by: EACTIVE wiemy jak

adres: ul. Aleksandra Zelwerowicza 18A

53-676 Wrocław

strona www: www.eactive.pl

